

tygodnik pomorski nr 2/3

WOLNE SŁOWO

Solidarność

TORUŃ

22 GRUDNIA 1989

ROK I

400 zł

W NUMERZE:

PRZED NAJTRUDNIEJSZĄ PRÓ-
BĄ ≡ MÓWI MUSIELAK ≡
NIECH ŻYJE ZSRR ≡ HANDEL
BOGACI ≡ SOWCHOZ PIŁSUD-
SKIEGO ≡ PARTYNJNY INTE-
RES ≡ STUDIOWAĆ WE LWO-
WIE ≡ ŻUŻEL ≡ ŚWIĘTA
W ZAGORSKU ≡ POLITYCZNE
FORUM ≡ O KUCHNI INDY-
SKIEJ ≡ SPORT ≡ FILM ≡
KRZYŻÓWKA ≡ PROGRAM TV



S. Ostoja-Chrostowski

ŻYCZYMY NASZYM CZYTELNIKOM
CIEPŁYCH I SPOKOJNYCH ŚWIĄT
BOŻEGO NARODZENIA
I WYTRWAŁOŚCI W NOWYM
1990 ROKU

— Czy umiesz grać w „bingo”?

Nie umiem. Bezradnie patrzę na rozłożone na stole kartoniki i klocki z cyferkami. Nagle kojarzę, że chyba jest to gra bardzo podobna do „lotto”, którą pamiętam z dzieciństwa. Przypominam sobie zasady. Wyjaśniam. Widzę rozradowane buzie dziewczynek. Mają nową grę. Normalna reakcja dziecka — zarówno Uli, z niewykształconymi w pełni nóżkami, jak i Hani, chorej na nieuleczalną pęcherzycę, która czyni z jej drobnego ciała rozległą ranę.

Jestem w jednym z trzech Domów Pomocy Społecznej „Caritas” w Chełmnie, prowadzonych przez siostry zakonne. Przebywa tu około 170 głęboko upośledzonych umysłowo i fizycznie dzieci od 4 do

Zapomniane przez bliskich, kochane przez obcych

DOM NADZIEI

TERESA BORCHARDT

18 roku życia. Po przejściu wszystkich możliwych instancji leczniczych tu znajdują swą ostatnią i często dożywotnią przystań.

Choroby, na które cierpią, są całą gamą przypadków zaburzeń hormonalnych oraz wad rozwojowych i uszkodzeń ośrodkowego układu nerwowego. Najbardziej znane to Zespół Downa, wodogłowie, małogłowie, a także mózgowie porażenie dziecięce. Są tu leżące w łóżkach, unieruchomione przez paraliż, śliczne dzieci, którym tak łatwo się współczuje, ale są też dzieci z deformacjami twarzy, z których chyba najbardziej wstrząsający jest brak gałek ocznych.

Opieka nad dziećmi wymaga całodobowego troskliwego zainteresowania. Bywają agresywne. Podczas ataku mogą doprowadzić do samookaleczenia lub wyrządzenia krzywdy innym dzieciom.

Ich niewielki iloraz inteligencji w skrajnych przypadkach osiąga zero. Oznacza to całkowity brak kontaktu z dzieckiem, zmuszający do zajmowania się nastolatkiem jak niemowlęciem.

To wszystko nie zachęca do podejmowania tu pracy przez personel świecki. A potrzeby są duże. Zgodnie z przepisami każdą 20-osobową grupą dzieci oprócz siostry-pielęgniarki powinny się zajmować 4 opiekunki. Ponieważ przy Domu prowadzone jest przedszkole, szkoła życia i szkoła specjalna, potrzebni są nauczyciele. Nad prawidłowym leczeniem i opieką nad dziećmi muszą czuwać specjaliści, m.in. pediatra, psycholog, psychiatra i rehabilitant. Spośród tych, którzy przychodzą tu do pracy czy to poprzez skierowanie, czy też z własnej woli, pozostają jedynie ci najbardziej wrażliwi, najbardziej rozumiejący potrzeby kalekiego dziecka, ci, którzy potrafią je pokochać.

dokończenie na str. 10

FERALNE TRZYNASTKI

Cześć pierwsza

23 listopada na ręce Alicji Brożyny, przewodniczącej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” WPHW w Toruniu wpływa protest podpisany przez 19 pracowników pionu usług dotyczący wyboru dyrektora przedsiębiorstwa. My niżej podpisani pracownicy WPHW wnosimy zastrzeżenia odnośnie do wyboru dyrektora przez Radę Pracowniczą jako niezgodnego z obowiązującym stanem prawnym w tym zakresie. (...) W związku z powyższym wnosimy o ponowne rozpatrzenie wyżej wymienionej sprawy zgodnie z obowiązującym stanem rzeczy.

KZ NSZZ „Solidarność” odpowiada już następnego dnia, kierując pismo do Barbary Dawidowicz, gdy tylko ona złożyła czytelny podpis pod protestem. (...) Zastrzeżenia wyżej podpisanych pracowników odnośnie do wyboru dyrektora WPHW przez Radę Pracowniczą w dniu 13 listopada nie precyzują niezgodności stanu prawnego odnośnie do wyboru. (...) Członkowie Rady Pracowniczej, którzy dokonali tego wyboru, a byli jednocześnie członkami Komisji Konkursowej nie zgłosili formalnych zastrzeżeń. (...) W świetle powyższego KZ „Solidarność” stoi na stanowisku, iż tylko rozsądne i spokojne działania wszystkich członków dyrekcji i całej załogi mogą umocnić i w prawidłowym kierunku przekształcić firmę zgodnie z duchem czasu i oczekiwaniami załogi.

Złe zawitało do WPHW w połowie roku. 13 czerwca dyrektor naczelny Zbigniew Kamiński złożył rezygnację na ręce wojewody. Bezpośrednim powodem była decyzja Urzędu Wojewódzkiego będącego organem założycielskim,

o podziale przedsiębiorstwa na trzy mniejsze. Powołana zostaje komisja likwidacyjna. Rada Pracownicza interweniuje u wojewody i rozmawia z dyrektorem.

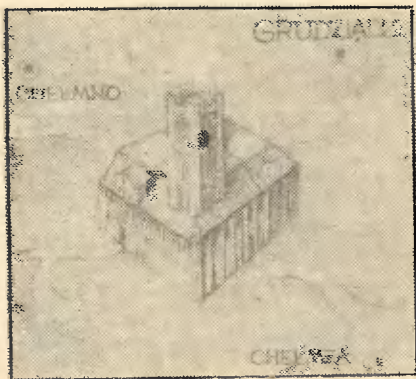
Dyrektor Kamiński, nie wycofując swojej rezygnacji, rozpoczyna starania o przejęcie całego przedsiębiorstwa w dzierżawę. Projekt zostaje zaakceptowany przez Radę Pracowniczą i chyba większość załogi, gdyż Kamiński cieszy się opinią dobrego fachowca i menedżera. 1 lipca zostaje podpisana umowa między wojewodą a Zbigniewem Kamińskim o przejęciu przedsiębiorstwa w dzierżawę. Obecni są przy tym

WYGONIĆ DIABŁA Z WPHW

przedstawiciele Rady Pracowniczej i związków zawodowych.

— Po podpisaniu umowy przez Kamińskiego i wojewodę dostaliśmy ją do wglądu — mówi przewodniczący Rady Pracowniczej, Włodzimierz Zielniewski. — Coś mi się nie zgadzało. Była to umowa o zarządcy. Po południu już wiedziałem, że jest to umowa nieprawna, gdyż przeznaczała uchwałę Rady Pracowniczej. Poza tym nie miała w ogóle możliwości zaistnienia. W żad-

ciąg dalszy na str. 10



TYDZIEŃ W REGIONIE

■ II Walne Zebranie Delegatów NSZZ „Solidarność” Regionu Toruńskiego wybrało na przewodniczącego Ryszarda Musielaka. O II WZD piszemy obszerniej na sąsiedniej stronie.

■ W toruńskim przebywał członek amerykańskiej misji gospodarczej prezydenta Busha James R. C. Salisbury z Western Farm Credit Bank. Interesował się funkcjonowaniem banków rolnych, które ocenił wysoko mimo oczywistych opóźnień w stosunku do stanu światowego (niezbędna jest komputeryzacja nawet najmniejszych placówek). Stwierdził, że pomoc dla rolnictwa powinna polegać głównie na dostarczeniu nowoczesnych maszyn, środków produkcji i technologii.

■ W siedzibie Zarządu Wojewódzkiego PSL „Odrodzenie” w Toruniu obradowało Wojewódzkie Zgromadzenie Delegatów. Przewodniczącym został Błażej Wierzbowski.

■ Na zaproszenie Włodzimierza Winclawskiego (Katedra Socjologii UMK w Toruniu) gościła w Bibliotece Uniwersyteckiej autorka znakomitych reportaży Hanna Krall. Przedstawiła ona fragmenty najnowszej książki pt. „Hipnoza”, odpowiadała na pytania. „Nie interesują mnie Niemcy, Żydzi, Polacy — powiedziała Hanna Krall — interesują mnie ludzie.

■ Duże zapasy masy skłoniły OSM w Brodnicy do ograniczenia skupu mleka. Rolnicy, którzy nie są członkami spółdzielni nie mogą odstawić ani jednego litra mleka.

■ Dwoma imprezami przypomniała Konfederacja Polski Niepodległej rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. Na ul. Szerokiej w Toruniu zorganizowano wiec, a wieczorem, w studenckiej Galerii „S” zaprezentowano okolicznościowy program poetycki.

■ Gośćmi II tury WZD w Toruniu byli przedstawiciele francuskiej centrali związkowej CFDT z regionu Rhone-Alpes współpracującej z naszym regionem w czasie stanu wojennego i obecnie. Reprezentowana była amerykańska centrala AFL-CIO.

■ Na antenie lokalnej rozgłośni w Bydgoszczy pojawiła się pierwsza audycja Radia Toruń zrealizowana przez niezależną grupę, której patronuje Zarząd Regionu „Solidarność”. Emisja następnych audycji stoi pod znakiem zapytania. Powodów jest wiele, m.in. ten, że prezes Andrzej Drawicz nie lubi „okienek”. Pozostaje nam odbudowa masztu z anteną nadawczą na Podgórzu.

■ Nowości toruńskich oficyn wydawniczych: Wydawnictwo Wolne Słowo proponuje książkę „Kodmedanci. Rzecz o bojkocie”. Wydawnictwo Kwadrat poleca „Portrety lat” Jakuba Karpińskiego, który w krótkich szkicach zawarł opis najważniejszych wydarzeń i atmosfery Polski od 1944 do 1988 r. (ah)

Mamy za sobą pierwsze miesiące nowej władzy w PRL. Minęły chwile entuzjazmu i uniesień, nadszedł dzień trudnej codzienności, coraz gorszych warunków bytowych, narastających komplikacji. W rozwiązywaniu najbardziej powszednich problemów. Komunistyczna szarość z wolna lecz wyraźnie ustępuje miejsca kontrastowym przejawom nowej jakości życia społecznego. „Piękno stygnie”, polityka usuwa się z pierwszego planu wypierana przez ekonomię, która zdominowała powszechne zainteresowania i emocje.

To co dziś najważniejsze, co zadecyduje o przyszłości, dzieje się w ekonomii właśnie. Pomyślność bądź fiasko podejmowanych przez rząd i zmierzających do uzdrowienia gospodarki działań przesądzą o losach tego narodu w równym stopniu w ich materialnym, jak i politycznym aspekcie. Nie da się bowiem ani teraz, ani kiedykolwiek mechanicznie oddzielić polityki od ekonomii.

Przed najtrudniejszą z prób

ROBERT ZIEMKIEWICZ

Rząd Mazowieckiego, formułując główne zarysy swego programu ekonomicznego, nie zaproponował cudownego, odkrywczego środka. Postąpił tak, jak na jego miejscu postąpiłby każdy inny rząd, poważnie traktujący swoją misję i społeczeństwo. Pod jednym wszakże względem rząd ten znajdował się — i ciągle jeszcze się znajduje — w sytuacji lepszej od np. niedoszłego rządu gen. Kiszczaka. Może on mianowicie zupełnie zasadnie zakładać większe zaufanie społeczne dla swojej polityki. Może też — co pozostaje w ścisłym związku z powyższym — pozwolić sobie na więcej odwagi i rozmachu w działaniu, więcej zdecydowania i konsekwencji.

Polityka gospodarcza rządu, mimo swego bez wątpienia ewolucyjnego charakteru i łagodnych w założeniu form realizacji, obiektywnie jednak ma cechy polityki twardego kursu. Nie jest to rezultat podyktowanych reformatorską niecierpliwością decyzji, lecz skutek konieczności wynikającej z głębokości kryzysu. Efektywność i sens podejmowanych działań reanimacyjnych dopuszcza tylko pewien stopień łagodzenia negatywnych skutków wchodzących w zakres tzw. społecznych kosztów reformy. Dlatego ofiary w postaci obniżenia poziomu życia są nieuniknione. Nikt tu nic mądrzejszego nie wymyśli.

Wszelako, jeśli ze zrozumieniem niemożliwości obejścia się bez ofiar nie powinno być w odbiorze społecznym kłopotu, to w tym samym odbiorze coraz większe wątpliwości i zastrzeżenia wywołuje obciążenie kosztami pokonywania gospodarczej zapaści tych warstw społecznych, które najmniej na to stać. Usłyszeć można często wypowiedziane opinie, że koszty te powinni ponieść ci, którzy do regresu ekonomicznego doprowadzili, a więc była władza i skupione wokół niej kręgi społeczne. Z moralnego punktu widzenia są to opinie uzasadnione, ale ich wyegzekwowanie miałoby też tylko moralne znaczenie. Związany z tym efekt ekonomiczny byłby praktycznie żaden i to z bardzo prostej przyczyny. Skala problemów, przed jakimi stoi Polska, przerasta bowiem o kil-

ka rządów wielkości to, co dałoby się tą drogą rewindykować. Pojawiają się także głosy, by kosztami reformy obłóżyć gwałtownie (według części przynajmniej opinii publicznej) bogacących się udziałowców świeżej daty spółek, spółdzielni, prywatnych przedsiębiorstw, sklepów. Z pewnością niezadko wychodzą tu na jaw ludzkie motywy zawiści, choć nie można odmówić sensu inynym motywow, wskazującym na fakty występowania działalności noszącej wszelkie znamiona afery gospodarczej. Chodzi tu nie tylko o uwłaszczanie nomenklatury.

Te patologiczne zjawiska nie mogą jednak przesądzać o ogólnej ocenie rodzącej się dopiero nowej przedsiębiorczości. Rząd, który obiera za cel gospodarkę rynkową, nie może nadmiernymi podatkami dławić w zarodku jej podmiotów. Nie może też, dążąc do równowagi rynkowej, kontrolować ruchu cen. Ucisk fiskalny naruszający granice opłacalności działań gospodarczych nie wpływa na

ich rozszerzenie i intensyfikację, przyczynia się raczej do ich zahamowania i wyępienia. Działa tu bezwzględne prawo ekonomiczne, wyrażane głośną w świecie krzywą Laffera. Kwestionowanie powstrzymywania się rządu od interwencji w tej dziedzinie, jest równoznaczne z kwestionowaniem mechanizmów rynkowych jako gwarancji normalności ekonomicznej. Koszty pokonywania kryzysu, siłą rzeczy ponieść musi całe społeczeństwo. W praktyce oznacza to, że obciążenia spadną głównie na średnio — a więc na ogół kłepko — stymulowane materialnie jego warstwy.

Najubożsi zostaną objęci zapewne rządowym systemem ochrony, którego skuteczność zależy przede wszystkim od wydolności finansowej państwa i — co również ważne — od determinacji oraz zrozumienia wagi problemu przez Ministerstwo Pracy i Polityki Socjalnej.

Polityka gospodarcza rządu doraźnie zwraca się zatem przeciwko interesom najliczniejszych kręgów społecznych. Sprzeczności tej usunąć ani ukryć się nie da. Wynika ona z logiki sytuacji, która wymaga posunięć niepopularnych. Jak dotąd, zaufanie i akceptacja społeczna równoważą godzące w poziom życia uboczne skutki działań reformatorskich. Jest to jednak równowaga chwiejna. Jej utrzymanie stanowi kluczowe zagadnienie dla polityki rządu.

Najwyraźniej zdają sobie z tego sprawę jego przeciwnicy polityczni, o czym wymownie świadczą populistyczne akcenty w apełach i oświadczeniach OPZZ, różnego szczebla instancji partyjnych, w publicystyce „Trybuny Ludu”. Dyskredytowanie polityki gospodarczej rządu przez eksponowanie jej ubocznych efektów nie jest zadaniem trudnym. Rzecz w tym, by ponad nimi umieć dostrzec cel, jakiemu wszystko to służy, by zrozumieć ich nieuchronność ale i przejściowość. Rząd postawił na dojrzałość społeczeństwa, sprawdzone już w momentach przełomowych.

Przed nami kolejna, być może najtrudniejsza z dotychczasowych, prób.



PANDA

oferuje:

Dostawy:

- systemy komputerowe
- aparatura pomiarowa i naukowo-badawcza
- koparki, elektroniczne maszyny do pisania, kalkulatory
- telefaksy i telexy
- sprzęt audio-video (magnetowidy, kamery).

Usługi:

- projektowanie, dostawy i uruchamianie systemów automatyki i pomiarów
- oprogramowanie
- handel zagraniczny: export, import
- handel zagraniczny: usługi
- poligrafia

Przedsiębiorstwo Usługowo-Handlowe
Panda Sp. z o.o.
 87-100 Toruń, ul. Matejki 10
 tel. 242-46; 480-144 tlx 552430

BĘDĄ DRAMATYCZNE SYTUACJE

mówi Przewodniczący Zarządu Regionu RYSZARD MUSIELAK

— Co skłoniło Pana do kandydowania na przewodniczącego regionu?

— Kiedy dowiedziałem się, że Antoni Stawikowski postanowił zrezygnować, długo zastanawiałem się, czy powinienem ubiegać się o przejęcie jego funkcji. Uważam, że mam pewne predyspozycje i moim obowiązkiem było zgodzić się i przedstawić program na zebraniu delegatów.

— Ile było w tym decyzji Pana, a ile sugestii poprzedniego przewodniczącego?

— Pierwszą propozycję otrzymałem od Tolka już rok temu. Początkowo uważałem, że będzie lepiej, jeśli spróbujemy znaleźć kogoś nowego, spoza ludzi z 80 roku, kto podjąłby się kierowania związkiem w nowej sytuacji. Z przykrością muszę powiedzieć, że nie udało nam się kogoś takiego znaleźć. Pojawili się więc sugestie związane z moją osobą, nie tylko Stawikowskiego, i w którymś momencie uznałem, że trzeba się zgodzić.

— Czy nie czuje Pan obciążenia latami 80? Nie boi się Pan, że jest to niekorzystne dla związku, iż władzę — w większości przypadków — sprawuje „solidarnościowy ZBoWiD”, legitymujący się swoją martyrologią?

— Oczywiście, to jest niebezpieczeństwo, gdyż zbyt mało jest w „S” świeżej krwi. Ale ważne jest też zachowanie pewnej ciągłości. Układem optymalnym byłaby równowaga ludzi starych i nowych. Obawiam się syndromu konspiracyjnego. Od początku działałem w konspiracji i wiem, że ta działalność powoduje negatywne skutki. Jest to jedna z przyczyn, dla której długo zastanawiałem się nad przyjęciem kandydatury. Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa przywiązania do pewnych form działa-

nia, które w warunkach jawności się nie sprawdzają.

— Z jaką opcją w „S” Pan sympatyzuje?

— Zdecydowanie opowiadam się za „Solidarnością” realizującą funkcje związkowe, przede wszystkim w zakładach pracy. „S” nie powinna wchodzić w układy z partiami ani się w partię przekształcać.

— A czy jest Pan zwolennikiem nurtu politycznego?

— Moje osobiste sympatie polityczne są bardzo silnie antynacjonalistyczne. Jeśli miałbym mówić o jakimś nurcie, który mi się podoba, to najwięcej sympatii żywię do programu socjaldemokratycznego. Mam natomiast świadomość, że gospodarka musi być obecnie zarządzana metodami liberalnymi.

— Jaki jest Pana osobisty stosunek do Lecha Wałęsy? Co Pan sądzi o jego ostatnim oświadczeniu dotyczącym specjalnych uprawnień dla rządu?

— Muszę się przyznać, że w roku 80 czy 81 nie byłem sympatykiem Wałęsy. Gdy poznałem go bliżej po stanie wojennym, odniosłem wrażenie, że Wałęsa bardzo się zmienił. Z drugiej strony ja też się zmieniłem i pewne rzeczy, które wydawały mi się niesłuszne u Lecha wtedy, teraz oceniam inaczej. Nie będąc nadal jego wielbicielem uważam, że jest to jedyny przywódca związkowy, który zachował bardzo rozsądny i właściwy stosunek zarówno do związku, jak i do sytuacji w Polsce.

Trudno mi natomiast odpowiedzieć jednoznacznie, czy zgadzam się z jego ostatnią propozycją. Na pewno należy ją uważnie przemyśleć i w sposób poważny wziąć pod uwagę.

— Czy można prosić o szerszy komentarz do Pańskiego programu, w którym stwierdza Pan,

że zmiany w Polsce nie są ani nieodwracalne, ani ostateczne?

— Uważam, że istnieje bardzo poważne niebezpieczeństwo, iż aparat władzy i część nomenklatury, która jest zagrożona, może próbować odwrócić sytuację. Nie sądzę, że demokrację mamy już wywalczoną. Osiągnęliśmy pewne sukcesy w demokratyzacji. Od naszej siły zależy, czy zdołamy dotychczasowe sukcesy utrzymać. Trzeba będzie bronić tego, co już mamy i rozszerzać zakres tych zdobyczy.

— Jakie działania podejmie związek, gdy w pierwszym kwartale przyszłego roku wielu ludzi zostanie bez pracy? Czy „S” przygotowuje się do tego momentu, który niewątpliwie nastąpi?

— Stawia to nas przed bardzo trudną próbą. Tym bardziej, że zdajemy sobie sprawę, iż te pousunięcia rządu są nieodwołalne. Rozpoczynamy działalność gospodarczą, aby zdobyć jak największe środki. W niedługim czasie znacznie funkcjonować spółka holdingowa. Chcemy ponadto pomagać w przekwalifikowaniu pracowników. Staramy się uzyskać informacje u związków zachodnich o sposobie prowadzenia takiego przekwalifikowania. Będziemy się włączać w działalność regionalnych organów administracyjnych, odpowiedzialnych za zatrudnienie. Z jednej strony grozi nam bezrobocie, a z drugiej wszystkiego brakuje, także ludzi do pracy. Chciałbym zdjąć sobie sprawę, że w indywidualnych przypadkach będą sytuacje dramatyczne.

— Czy rezygnuje Pan z pracy zawodowej?

— Nie chcę porzucić szpitala, bo nie chcę stracić kontaktu z zawodem. Jestem inżynierem, zajmuję się naprawami, konserwacją i obsługą aparatu do he-



fol. J. Sysół

modalizy, czyli sztucznych nerok. Poza tym chcę mieć codzienny kontakt nie tylko z działaczami, ale i zwykłymi ludźmi. Jest to pewne zabezpieczenie.

— Podobno przy sztucznej nerce jest Pan niezastąpiony?

— Nie ma ludzi niezastąpionych, ale rzeczywiście w szpitalu lekko przerazili się ewentualnością mojego zwolnienia. Mam nadzieję, że uda mi się pogodzić działalność w związku z pracą w szpitalu.

— Jaką decyzję podejmie Pan, gdy „WS” będzie się sprzedawało źle?

— Trzeba będzie się zastanowić nad przyczynami. Tygodnik związkowy jest nam potrzebny, ale nie stać nas na dotowanie całkowite deficytowe pisma.

— Czy uważa Pan „WS” za pismo będące własnością związku?

— Broń Boże! „WS” nie jest organem związku, ale mam nadzieję, że zachowując niezależność — będzie propagowało idee „Solidarności”.

— Właśnie to robimy. Dziękujemy.

rozmawiali:
STEFAN MUCHA
WOJCIECH ZAGUŁA

„Gazeta Wyborcza” nieopatrznie skłamała podając informację, że na Walnym Zebraniu Delegatów Regionu Toruńskiego działacze pożegnali Antoniego Stawikowskiego. To nieprawda — Tolek nie żegna się ze związkiem. Powiedział, że nigdy nie odejdzie od „Solidarności”, przestaje tylko być działaczem związku. Nadal będzie służył: swoją radą, swoim czasem i sercem.

Nasze kwiaty i oklaski dla niego nie były więc pożegnaniem. To znaki naszej wdzięczności za to, że osiem lat swego życia oddał bez reszty „Solidarności”. Był to dla niego czas walki i ciężkiej, żmudnej pracy. Przez te lata skupił wokół siebie najaktywniejsze środowiska, zdobył sobie niekwestionowany autorytet, zarażał ofiarnością i determinacją.

Trudno było oprzeć się wzruszeniu, gdy powiedział, że nie stanął do wyborów przewodniczącego regionu, bo nie ma już tej siły i energii, którą miał osiem lat temu. Ale odchodzi też w poczuciu satysfakcji ze zwycięstwa związku, pomimo przegranej bitwy, którą był 13 grudnia 1989 roku.

Jak dobrze, że 13 grudnia 1989 r. był dla niego dniem zwycięskim.
Redakcja

ZAKOŃCZYŁO SIĘ II WZD

NSZZ SOLIDARNOŚĆ Regionu Toruńskiego

WYBORY

Dyskusja

Jedyną niespodzianką było zakończenie wyborów przewodniczącego i władz Związku już w pierwszej turze głosowania. Ryszard Musielak uzyskał bardzo dużą przewagę nad pozostałymi kandydatami. O wyborze nie zdecydowały ani powody drugorzędne, ani chwilowe sympatie. Jacek Stankiewicz zaprezentował swoją wizję Związku interesującą i w atrakcyjnej formie. W kuluarach wskazywano, że o wyborze Musielaka zdecydowała „związkowa” formuła jego programu, lepsza w stosunku do kontrkandydatów pozycja w strukturach Związku dziś i w stanie wojennym (był znany większości delegatów) wreszcie niechęć matych ośrodków i komisji zakładowych do dużych zakładów, które lepiej radzą sobie z problemami ekonomicznymi nie oglądając się często na słabszych kolegów (J. Stankiewicz jest z Elany). Szybko wybrano też 32-osobowy Zarząd i Komisję Rewizyjną.

Tylko w trakcie zgłaszania kandydatur na delegatów na Zjazd Krajowy wyborcy dali się ponieść demokratycznej atmosferze zebrania i 8 przedstawicieli Regionu na WZD wybrano dopiero w II turze głosowania.

Poruszono bardzo wiele kwestii od wątków ekonomicznych i politycznych po problemy oświaty. Największej uwagi poświęcono przyszłości Związku i trosce, by nie stał się on nomenklatury, a zachował swe pracownicze i demokratyczne oblicze w nowej fazie działania. Liczne głosy nagradzane były oklaskami. I te rozsądne, i te demagogiczne. Ale gdy przychodziło do głosowania, sala jednoznacznie opowiadała się przeciw tym drugim, co warto odnotować.

Program

II Walne Zebranie Delegatów zamknęło, przynajmniej w skali naszego Regionu, dyskusję nad formułą Związku. Jeszcze podczas obrad II tury były (przynajmniej teoretycznie) dwie możliwości: organizacja o zdecydowanie politycznym charakterze, ruch społeczny i związek zawodowy. Delegaci opowiedzieli się za Solidarnością rozumianą przede wszystkim jako związek zawodowy. Program zdecydowanie stawia na pierwszym miejscu obronę interesów pracowniczych. Równocześnie świadomość tego, że losy pracowników nie

decydują się tylko w zakładzie pracy zobowiązuje do podejmowania działań wykraczających poza typowe dla związku zawodowego ramy. Solidarność nie zamierza wprawdzie wkraczać na pola działania innych instytucji czy organizacji, ale nie jest jedynie biernym obserwatorem procesów społecznych i politycznych. Tam, gdzie będzie to uzasadnione, wystąpi jako suwerenny podmiot społeczny lub polityczny.

Program określa swego rodzaju filozofię działania Związku, jego taktykę. Rozstrzyga mianowicie dylemat, czy lepiej dać głodnemu rybę (potem następną i następną), czy może raczej dać mu wędkę i nauczyć łowienia ryb. Przyjmując to drugie rozwiązanie Związek nie tylko rzeka się roli wszechobecnej i wszechmocnej super-organizacji, lecz wybiera bardziej skuteczną (perspektywnie) i bardziej humanitarną formę ochrony i pomocy. Pomoc rozumiana jako prowadzenie za rękę czy działalność charytatyw-na pozbawia człowieka woli walki, uzależnia od opiekuna, jest swoistym treningiem bierności i bezradności. Dlatego też program proponuje wsparcie jako tworzenie warunków, w których możliwe byłoby skuteczne pomaganie sobie samemu. (m.w.)

MAŁE JEST PIĘKNE!

Na winięcie naszego regionalnego tygodnika widnieje zgrabny znaczek *Solidarności*. Z założenia ma się on nie rzucać w oczy. Dyskretny czas elegancji jesienią 1989 — nie eksponować nadmiernie symboli, nie narzucać się. Pluralizm zobowiązuje. Zobowiązuje też obecna sytuacja. Małe jest piękne.

Chrońmy ideały przed nadmiernym wytarciem w szarości codziennych kłopotów — mówią jedni. To już nie to co w 1980, z pewnym rozżaleniem, zmieszaniem ze szczyptą zniechęcenia — dodają drudzy. Urodzili się komitety, ruchy, stowarzyszenia, kluby. Mnogość w jedności? Czy tę jedność ma symbolizować dyskretny, czerwony akcent umieszczony pod solidnie zbudowanym tytułem pisma?

Mam ciągle nadzieję, że tak. Brakuje mi co prawda trochę instytucjonalnego określenia tego symbolu, który pojawił się w naszym polskim życiu publicznym w Sierpniu '80 — no, ale to już przywiera wieku, że człowiek tak się przyzwyczaja...

Dżentelmeni nie dyskutują o faktach. NSZZ *Solidarność* straciło sporo ze swojej liczebności w stosunku do okresu przed stanem wojennym. W wielu zakładach nawet nie istnieje w zorganizowanej formie. Wielu jego członków pędzi w miarę spokojne życie poza krajem i stara się wytłumaczyć sobie, że chociaż dzieciom zapewnią odpowiednie warunki, że na najmniejszy nawet optymizm jeszcze zbyt wczesnie, że „komunie nigdy wierzyć nie wolno”. Część intelektualnych elit może spełnić wreszcie swoje polityczne aspiracje i dziwić się temu nie należy, ale — fakt to kolejny — ich wysuwanie się poza Związek stanowi dla niego spore osłabienie.

Znaczna część inteligencji, głównie w zakładach produkcyjnych, po smutnych doświadczeniach stanu wojennego i bezpośrednio po nim, czeka na początki stabilizacji, waha się. Można już teraz usły-

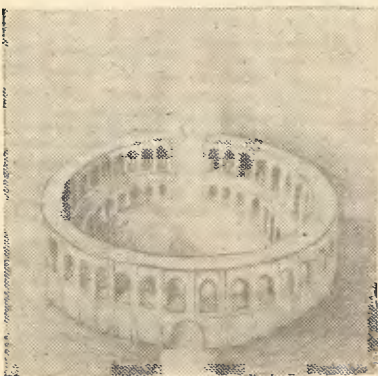
sząć w fabrykach rozżalone głosy, że robotnicy zostali pozostawieni sami sobie, a lepiej opłacana „kadra” dba głównie o swoje interesy. I tu nie ma o czym dyskutować. To fakt widoczny na listach członków.

Są też i inne fakty. Nie można ich nie widzieć lub udawać, że się ich nie widzi. Polityczne zmiany w Polsce, jakie rozpoczęły się na początku 1989 roku i nabierały rumieńców przez czerwcowe wybory, aż do utworzenia rządu bez dominacji komunistów i spodziewanej, rychłej likwidacji ich partii, to nie szczęśliwe zrzucenie losu. Napędzały je organizacyjne struktury Związku, tego Związku, z którego wyszło całe grono posłów i senatorów, używających w swojej kampanii jego symboli. I wtedy nikt nie myślał o miniaturyzacji. Przeciwnie, plakaty i zdjęcia pokryły gęsto i wyraźnie mury domów nie tylko Torunia.

Poparcie dla zmian zachodzących w Polsce akcentowane jest mocno, a kierunek tego poparcia jest dostatecznie jasny. Wystarczy przypomnieć telewizyjną transmisję wystąpienia przed połączonymi izbami Kongresu Stanów Zjednoczonych, drugiego w tym stuleciu obywatela obcego państwa — elektryka ze Stoczni Gdańskiej, przewodniczącego Komisji Zakładowej NSZZ *Solidarność* w tym zakładzie. Pierwszym był Winston Churchill. I jeszcze parę faktów: narodowe flagi nad Litwą, Łotwą, Estonią, plac Waława w czeskiej Pradze, wielopartyjny system polityczny na Węgrzech, oficjalne wystąpienia opozycji w Bułgarii i Rumunii, koniec berlińskiego muru i otwarcie Bramy Brandenburskiej. A osiem lat temu, w hali Olivii w Gdańsku, na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ *Solidarność* przyjmowano apel do narodów Europy Wschodniej. Małe jest piękne i... skuteczne.

JACEK STANKIEWICZ

W tej rubryce publikujemy materiały, za które odpowiedzialność ponoszą wyłącznie autorzy. Mogą pojawić się między nimi takie, z którymi nie będziemy się zgadzać, ale nazwa pisma zobowiązuje.



POLITYCZNE FORUM

„Niech rozkwita sto kwiatów...” powiedział wielki przewodniczący Mao rozpoczynając krótką liberalizację życia społecznego w Chinach w latach 50. Sto różnorodnych kwiatów, tak jak i myśli ludzkie różnią się jedne od drugich.

Czy ta myśl ludzka w dziedzinie politycznej rozkwita również w jesiennym Toruniu roku 1989?

Odpowiedź wydaje się trudna nie tylko dlatego, że zanikają stare siły polityczne. To zamieranie widać najbardziej w PZPR. Oprócz nasilającego się procesu rzucania legitymacji, mamy i rzucanie etatowej pracy partyjnej.

Ale zdarzają się i próby osiem lat temu nazywane kontrrewolucyjnymi, a teraz aprobowane przez władze naczelne tej partii. Ruch 8 lipca, którego reprezentantem w Toruniu jest Marian Urbański — I sekretarz KU PZPR na UMK grupuje kilkunastu ludzi, którzy jakoś nawiązują do idei „struktur poziomych”. Cieszy się jednak zainteresowaniem nie byłych działaczy „struktur”, ale ludzi z aparatu. Uważa za niezbędną demokratyzację PZPR i uznanie konieczności reform.

O wiele bardziej zdecydowany charakter mają poglądy kilkunastu ludzi z Toruńskiej Inicjatywy Socjaldemokratycznej, kierowanej przez Bogdanę Lewandowską, a grupującej ludzi głównie z partyjnych „struktur poziomych”: M. Arendta, byłego członka KC, B. Podszuckiego

(ANS przy KC PZPR), F. Rybińskiego, bliskiego współpracownika Iwanowa z „Towimoru” i innych. Ich wyróżnikiem ideologicznym jest demokratyczny socjalizm. Postulują rozwiązanie PZPR, uważając za konieczne zwołanie zjazdu likwidacyjnego, gromadzącego przedstawicieli poszczególnych orientacji. Konsekwencją przyjęcia innych rozwiązań przez KC stało się zadeklarowanie przez tę grupę zbiorowego wystąpienia z PZPR.

Coś podobnego jak z PZPR

dził po kilku latach starań do Krajowego Forum Samorządów Pracowniczych. Odbyło się ono w Toruniu na początku listopada z udziałem K. Ludwiniaka (tego z ESOP) i kilku ministrów.

Mniej widoczne na tle tych skupiających duże grupy ludzi organizmów społecznych są nowe partie polityczne. Sądzę, że nie ma sensu pisać szczegółowo o partiach typu kanapowego, o których słychać tylko to, że istnieją. Tak można potraktować np. Polską Partię Zielonych czy

ważniejszą funkcję pełni od lat obecna senator A. Grześkowiak.

Klub Myśli Politycznej „Dziękania” w Toruniu praktycznie przestał od października funkcjonować. Jedną z przyczyn tej sytuacji mogło być występowanie z centrali warszawskiej kolejnych grup ideowo-politycznych. W samym jednak Toruniu „Dziękania” miała od początku charakter chadecki (J. Szwecowicz, J. Matyjek). Niestety nic nie słychać o dobrze zapowiadającej się Arce — studenckiej organizacji katolickiej.

Inaczej jest z Niezależnym Zrzeszeniem Studentów kierowanym przez M. Romaniuka z prawa i R. Maszkowskiego z astronomii, które potrafi swoimi działaniami (np. mecz z ZOMO) łączyć młodość z inteligencją. Podobnie można twierdzić i o ruchu Wolność i Pokój (P. Niedlich), które oprócz walki o godne warunki wojskowej służby zastępczej ma ochotę zajmować się również ekologią. Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej (Jacek Podolski) prowadzi obecnie pracę wychowawczą, tworzy nowe kadry harcerskie do tej pory prawie nie istniejące.

Największe jednak ożywienie panuje wśród młodzieży szkół średnich. Wybija się tutaj IV LO. Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej (M. Orłowski) wydaje na powielacz „Pochop” i „Tadzia” — takiego małego Kościuszkę. Niezależne Zrzeszenie Młodzieży Szkolnej (A. Wróblewski) wydaje „Liberala”. A oprócz tego słyshałem o powstaniu już w ubiegłym roku szkolnym Międzyszkolnego Komitetu Sympatyków „Solidarności”.

Osobno trzeba by pisać o RI „Solidarność”, o sytuacji w PSL-ach, o inicjatywach gospodarczych — m.in. Pomorskim Towarzystwie Gospodarczym itd.

Sytuacja zatem jest zaiste jesienna. Podobna do tej, którą się widzi przy zbieraniu ziemniaków. Obok jednego starego i wyschniętego kartofla leży gromadka częściściej mniejszych (była przecież długa susza) niż większych, mówiąc po tutejszemu pyr.

ROMAN BÄCKER

STO KWIATÓW JESIENNEGO TORUNIA

dzieje się z jej przeciwieństwem — NSZZ „Solidarność”. Jednak rzucanie legitymacji związkowych nie jest powszechne — robią to jednostki i to przede wszystkim ze względów materialnych. Do związku raczej się przychodzi pracować, często wychodząc z prywatnej spółki, ale mimo wszystko... Kto pamięta tłumy na Bydgoskiej, tego niepokoi obecność nielicznych i zwykle ciągle tych samych osób na górze w znajomym budynku na Mickiewicza.

Ale jeżeli dobrze się przyjrzeć, to nie wygląda to tak tragicznie. Obok i wspólnie działają, organizacje społeczne obejmujące od „S” rozmaite funkcje. Najważniejszą z nich jest Toruński Ruch Samorządności Obywatelskiej skupiający ludzi wywodzących się z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Staje się on powoli inspiratorem i koordynatorem działań wszystkich komitetów obywatelskich województwa toruńskiego. Niekwestionowanym autorytetem jest w nim poseł Jan Wyrowiński, uparcie od lat dążący do realizacji idei samorządności lokalnej.

Drugi poseł — K. Zabiński zajmuje się też samorządami, ale pracowniczymi. To on wraz z S. Czuszelem, J. Wiśniewskim z „Elany”, kolegami z „Geofizyki” i innych zakładów doprowa-

anarchistów oraz, trochę poważniej, podzielone podobno na frakcje Stronnictwo Narodowe. Liczącymi lub mogącymi się liczyć spośród nowych są trzy partie.

Najstarsza jest Konfederacja Polski Niepodległej kierowana przez Marka Reszkę, studenta IV roku polonistyki, z programem niepodległościowym. Ponad roczną tradycję ma w Toruniu PPS J. J. Lipskiego. O ile KPN urzęduje od czasu do czasu wiece na Szerokiej, o tyle o publicznej działalności PPS trudno cokolwiek powiedzieć.

Po kilku miesiącach przymiarek ukonstytuowało się Stronnictwo Pracy. Mężem zaufania SP w Toruniu jest Grzegorz Górski, a na prezesa wybrano K. Wajdę z UMK. Do SP wstąpiło około 70 osób.

Oprócz niej istnieją również inne organizacje społeczne chcące zrealizować społeczną naukę kościoła. Jest to przede wszystkim Klub Inteligencji Katolickiej, który znowu powrócił do swej tradycyjnej nazwy. Prezesa mu A. Tyc z PAN. Zupełnie inne środowisko skupia Duszpasterstwo Ludzi Pracy, które w piątą rocznicę zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki zorganizowało pielgrzymkę do Górka. Do ciekawie działających środowisk należy też zaliczyć Duszpasterstwo Prawników, w którym naj-

UNIwersytet MOJEJ MŁODOŚCI

z prof. Arturem Hutnikiewiczem z UMK
rozmawia Robert Erdmann

— Znajdujemy się w okresie wielkiej reformy również całego systemu edukacji narodowej, w tym i szkolnictwa wyższego. Pan ma w tym zakresie bogate doświadczenie. Był Pan studentem, a później asystentem na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Od 45 lat jest Pan profesorem uniwersytetu powojennego. Czym różnił się tamten uniwersytet od dzisiejszego, który powszechnie ocenia się bardzo krytycznie?

— Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, na który wstąpiłem we wrześniu roku 1934, a ukończyłem w nim studia w czerwcu 1939, różnił się od współczesnego modelu szkoły wyższej w Polsce powojennej w sposób zasadniczy pod każdym względem. Aby uświadomić to Panu, muszę zacząć od pewnej uwagi generalnej, dotyczącej ustroju społecznego Polski Niepodległej, bo są to sprawy łączące się ze sobą organicznie. Otóż życie w Polsce lat międzywojennych, jako kraju demokratyczno-liberalnym, w rozumieniu zachodnim, oparte było na zasadzie wolnej gry sił, wolnej konkurencji. Istniała więc, narzucona przez samo życie, konieczność dobrej roboty. To był warunek egzystencji w świecie, w którym jako główny regulator działało prawo współzawodnictwa. Otóż ten nawyk pracowitości, jako jedynej miary człowieka i jego przydatności społecznej, przenikał do innych dziedzin życia, a więc również do szkół wszystkich szczebli i stopni. Wymagania były wysokie i surowe, toteż świadectwo maturalne było dokumentem w pełni wiarygodnym, nie wymagającym żadnych dodatkowych sprawdzeń w postaci egzaminów wstępnych na studia. Otwierało ono automatycznie dostęp do większości szkół wyższych bez ograniczeń. Tak więc każdy młody człowiek, kandydat do studenckiego indeksu, wynosił już ze swego domu rodzinnego, z obserwacji życia i ze swej szkoły, nawyk solidnej roboty, a w każdym razie wiedzę o tym, że za darmo niczego się w życiu nie osiąga, że nikt nikomu nic za darmo nie daje.

Druga sprawa to charakter, system i organizacja studiów. Studia były wolne. O ich przebiegu decydował sam student, on je sobie organizował i on ponosił wszelkie konsekwencje za ich niepowodzenie. Student dowiadywał się oczywiście już na początku o tym, jakie zajęcia będzie musiał w toku studiów zaliczyć i jakie zdać egzaminy, ale przebieg studiów zależał wyłącznie od niego. To on decydował i on określał, na jakim roku i w jakiej sesji egzaminacyjnej zamierza przystąpić do danego sprawdzianu swojej wiedzy, on też wybierał sobie egzaminatora, którym z reguły bywał profesor, pod którego kierunkiem studiował.

Student płacił tzw. czesne. Istniała, co prawda, możliwość obniżenia i odroczenia owych opłat, można też było ubiegać się o stypendium państwowe, ale pomoc tego rodzaju zarezerwowana była wyłącznie dla studentów rzeczywiście najbiedniejszych i najpilniejszych jednocześnie. To czesne, egzekwowane regularnie w określonym terminie, stanowiło zatem dodatkowy doping do rzetelnej pracy.

— Czy uważa Pan, że ten system był lepszy od tego jaki obowiązuje obecnie?

— Tak. Był wychowawczo i społecznie wartościowszy. Bardziej odpowiadał istocie i charakterowi studiów wyższych. System ten traktował studenta poważnie, jako osobę w pełni dorosłą, a zatem i odpowiedzialną za to, co robi, osobę, której należy zostawić całkowitą swobodę wyboru wykładów i wykładowców, i pełną wolność organizowania sobie studiów według własnych potrzeb i upodobań. Minimalny wymiar obowiązkowych zajęć, który jednak w zupełności wystarczał do zaliczenia roku, wynosił 10 godzin tygodniowo. Reszta była do dyspozycji studenta. To był jego czas, z którym mógł robić, co chciał: mógł go poświęcić na istotne studia, ale mógł też ten czas marnować. Nikt się tym jednak nie interesował. Otóż taki system stawiający na dojrzałość, na odpowiedzial-

ność, wydaje mi się jedyną właściwą szkołą ludzi dorosłych. System obecny — mówiąc językiem Gombrowicza — „upupia” studentów, cofa do epoki dzieciństwa, trzyma ich przez pięć lat w stanie infantylizmu, dziecięcej niedojrzałości.

— A jak wyglądało życie ideowe ówczesnej młodzieży akademickiej?

— Społeczeństwo II Rzeczypospolitej było społeczeństwem pluralistycznym, w którym równouprawnione były różne orientacje ideowe, społeczne i polityczne. Aczkolwiek po roku 1926 postać Piłsudskiego niewątpliwie dominowała w życiu politycznym kraju, to przecież nadal istniały i działały jawnie, legalnie różne partie, które miały również swoje odpowiedniki czy ekspozytury w środowisku młodzieży. Sam uniwersytet był oczywiście instytucją apolityczną, ale istniały w nim organizacje młodzieżowe, w których studenci mogli wyrażać swoje sympatie ideowe. Tych organizacji było dość dużo, więc wymienię przykładowo tylko niektóre, najbardziej może aktywne i dynamiczne. A więc katolickie „Odrodzenie”, z którego wywodzi się dzisiejsze środowisko „Znak-u” i „Tygodnika Powszechnego”, Związek Młodej Polski, Związek Młodych Narodowców i Młodzież Wszechpolska, trzy organizacje powiązane ze Stronnictwem Narodowym, czyli dawną endecją, a więc prawicą polityczną, Legion Młodych związany z obozem Piłsudskiego, Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej, będący odpowiednikiem tzw. Lewicy Piłsudczykowskiej, Związek Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej „Wici”, ekspozytura na gruncie młodzieżowym Stronnictwa Ludowego, Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej wywodzący się z Polskiej Partii Socjalistycznej oraz Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej „Życie”, będący przybudówką Komunistycznej Partii Polski. Wymieniłem tylko część tych organizacji, ale już one świadczyły o najrozmaitszych możliwościach wyborów ideowych, jakie otwierały się przed każdym studentem. Ci najbardziej aktywni, którym sama nauka nie wystarczała mieli w czym wybierać. Życie ideowe młodzieży akademickiej w latach moich studiów było bardzo urozmaicone, niekiedy również burzliwe. Poglądy były skrajne, ideologie rozbieżne i przeciwstawne. Każda organizacja inaczej sobie wyobrażała ideę Polski, a przy znamiennej dla młodych ludzi impulsywności, temperamencie i bezkompromisowości, prowadziło to niekiedy do gwałtownych starć.

Czy to było dobre, czy złe? Sądzę, że dobre. Człowiek ma prawo do wolności również w sferze idei i poglądów. Różnice postaw i dążeń, to przecież różnorodność i bogactwo życia, to ruch, to wieczna zmiana, a tylko ruch, a nie skostnienie w jednym schemacie ideowym i w jednej doktrynie może być zaczynem rzeczywistego postępu. A poza tym różnice te łagodziła w dużym stopniu jedna idea nadrzędna — idea Polski, jej niepodległego, suwerennego istnienia i rozwoju.

Oczywiście w życiu politycznym młodzieży zdarzały się pewne akcenty czy aspekty negatywne, np. antysemityzm tzw. młodzieży narodowej o nastawieniu nacjonalistycznym, świadomie prowokującej niekiedy rozmaite tumulty antyżydowskie. To zjawisko antysemityzmu może się wydać obecnym studentom zupełnie niepojęte i niezrozumiałe, ale Polska międzywojenna miała 3,5 miliona obywateli narodowości żydowskiej, a więc tyle prawie ile dziś liczy cała ludność państwa Izrael. Sprawa żydowska było więc zagadnieniem istotnym, trudnym, politycznym, społecznym i ekonomicznym. Wymagała jakiegos rozwiązania, ale nie w takiej formie, jak straszenie i tarmoszenie Żydów, czy też wpędzanie ich siłą do getta ławkowego. Było to zjawisko niewątpliwie smutne i niegodne narodu, który niedawno jeszcze walczył o sprawiedliwość dla siebie. Chciałbym jednak podkreślić, że podłoże antysemityzmu w pewnej części społeczeństwa nie miało nigdy charakteru rasowego, ale wyłącznie eko-

nomiczny i kulturowy. A poza tym ów antysemityzm młodych narodowców był oficjalnie potępiany i przez rząd polski, i przez hierarchię kościelną, i przez większość społeczeństwa polskiego.

— A jak wyglądało życie towarzyskie i kulturalne młodzieży akademickiej? Czy istniała swoista subkultura studencka, narzucająca określone wzory zachowań?

— Życie towarzyskie młodzieży akademickiej wyglądało oczywiście inaczej niż dzisiaj, a jego formy zdeterminowane były całkowitą odmiennością ówczesnie obowiązującego systemu studiów oraz struktury społecznej, więcej niż obecnie zróżnicowanej. Studiując według planów indywidualnych studenci nie byli skazani, jak dzisiaj, na stałe, od rana do wieczora, przebywanie w tej samej grupie. Uczęszczali na różne wykłady, stykając się ze sobą okazjonalnie. Nie mieszkali też tak stłoczeni w akademikach jak studenci obecni. Domy akademickie oczywiście istniały, ale większość odnajmowała kwatery prywatne na mieście, o które nie było trudno. To liczne środowisko akademickie żyło więc w swoistym rozproszeniu. Stykało się ze sobą tylko od czasu do czasu. Luźność tych spotkań nie sprzyjała powstawaniu jakiegos subkultury studenckiej czy studenckiego getta kulturalnego, albo jakiegos specyficznej obyczajowości studenckiej. Życie towarzyskie zamykało się w wyższych kręgach bliskich przyjaciół, bądź w owych pozauniwersyteckich organizacjach, skupiających uczestników na zasadzie wspólnoty ideowej. Wreszcie przy ogólnej społecznej pozycji studenta, niczym w istocie nie różniącej się od sytuacji w tym zakresie ludzie całkowicie dorosłych i samodzielnych, młodzież akademicka korzystała z tych samych uprawnień, możliwości i atrakcji życia towarzyskiego, co reszta społeczeństwa. Były przecież teatry, rewie, kabarety, kina, koncerty, kawiarnie, dancinż, rozmaite przybytki weselości. Przy ówczesnej konkurencyjności wszelkiego typu usług, również w zakresie rozrywki, nie potrzeba było być dysponentem jakichś znacznych sum, aby się przyzwyczoicie zabawić.

Oczywiście różne imprezy towarzyskie organizowała młodzież we własnym zakresie, zwłaszcza w miesiącach karnawału. Organizowała je np. Bratnia Pomoc — największa i najpotężniejsza organizacja samopomocy studenckiej, pełniąca funkcję czegoś w rodzaju związku zawodowego studentów. Niektóre bale studenckie np. Karnawałowy Bal Techników, tzn. studentów Politechniki Lwowskiej, cieszyły się powszechną renomą i rozgłosem, gromadząc obok studentów najbardziej wytworne, ekskluzywne towarzystwo. Trzeba bowiem pamiętać, iż w tamtych czasach również i styl zabawy był odmienny niż dzisiaj, co wynikało zapewne z większego rozwarstwienia towarzyskiego i kulturalnego oraz naturalnych ambicji do stałego podnoszenia jak gdyby własnych aspiracji towarzyskich do możliwie najwyższego obowiązującego poziomu. Zasadą więc było równanie w górę, a nie w dół. Przy całej demokratyczności czasów w sferze ludzi inteligentnych, a studenci stanowili przecież z naturalnego stanu rzeczy elitę inteligentną, obowiązywały pewne formy towarzyskie, którym trzeba było się podporządkować, jeśli się chciało uchodzić za człowieka dobrze wychowanego i kulturalnego, nawet w zakresie stroju. Gdy np. rektor uniwersytetu urządził spotkanie w salach recepcyjnych rektoratu i przysyłał do Koła Polonistów, do mnie ówczesnego studenta, ale i wiceprezesa tego Koła, uprzejmie zaproszenie na to spotkanie, to na dole tego zaproszenia było wydrukowane małutkami literami „czarna marynarka”, tzn. że taki strój obowiązywał i niepodobna było stawić się na takim zebraniu w marynarce np. jasnopopielatej lub w kratę...

Drugą część rozmowy z prof. A. Hutnikiewiczem zamieścimy w następnym numerze (red.)

Jedna z grudniowych sobót. Na salę konferencyjną Wojewódzkiego Ośrodka Kształcenia Ideologicznego, użytkowaną od lat przez PZPR, wchodzi małżeństwo w średnim wieku.

— Spójrz — mówi Ona. — Tabliczka informuje: tu działa koncert „Elpol”.

Mężczyzna spogląda i łapie się za głowę: — Koniec świata! PZPR żeni się z kapitalistyczną formą. Przecież koncert opiera się na wyzysku ludzi pracy. Tak uczono nas w szkole...

KIERMASZ W WOKI ALBO KAMELEONIA

Do rozmowy wtrąca się starsza pani. Zwierza się, że osobiście przez wiele lat przekazywała taką wiedzę uczniom. Niedowiarków karała dwójkami. A tu: Masz babo placek! Trudno dogadać się teraz z własnym sumieniem.

Za drzwiami sali konferencyjnej (i za tabliczką) — prowizoryczne stoiska. W najlepsze trwa handel: meblami, sprzętem radiotechnicznym, obuwiem, odzieżą, kosmetykami. Do toreb przybyszów trafiają też: francuskie materace, wrotki z importowanymi butami, koszycki, koszyki itp.

Obok zawodowych sprzedawców za ladami uwijają się dotychczasowi strażnicy polityki ekonomicznej, ekonomii politycznej i w ogóle polityki byłej siły przewodniej. Instruktorzy (byli instruktorzy)

instancji PZPR rączo podają towary. Ochoczo inkasują też gotówkę — od kilkuset do wielu tysięcy złotych. Pojawia się również szef toruńskiej cenzury, nosi kartony.

Widać, że świeżo upieczeni handlowcy wiedzą za co się wzięli. Tezy o wyższości ekonomii politycznej socjalizmu nad ekonomią polityczną kapitalizmu poszły w kął. Królują zaś argumenty o bliskości świąt Bożego Narodzenia, bo

— Mikołaj święty musi mieć prezenty.
Staruszka — nauczycielka zrobiła zakupy. Dogania teraz małżeństwo w średnim wieku, aby powiedzieć:

— Dowiedziałam się właśnie, że „Elpolem” kierują działacze PZPR. Kierownictwo oddziału toruńskiego może być ponoć przyszłością tej partii.

— Raczej powinno utworzyć Polską Rozdrobnioną Partię Nierobotniczą — mówi na to męska część małżeństwa.

Zart słyży trójka nastolatków. Chłopak, który niesie pod pachą buty wskazuje na portrety bojowników o socjalizm i przywódców PZPR, górujące nad wielkim targowiskiem:

Ci faceci to muszą się teraz przewracać w grobach. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby któryś z nich zstąpił z portretu i wziął do ręki sznur, i nuże okładać przekupniów, wyganiając ich z ideologicznej świątyni. Przecież coś podobnego już się kiedyś zdarzyło.

Młodzi wpadają w rechot. Dojrzały im wtórują. Nastolatek podnosi więc temperaturę:

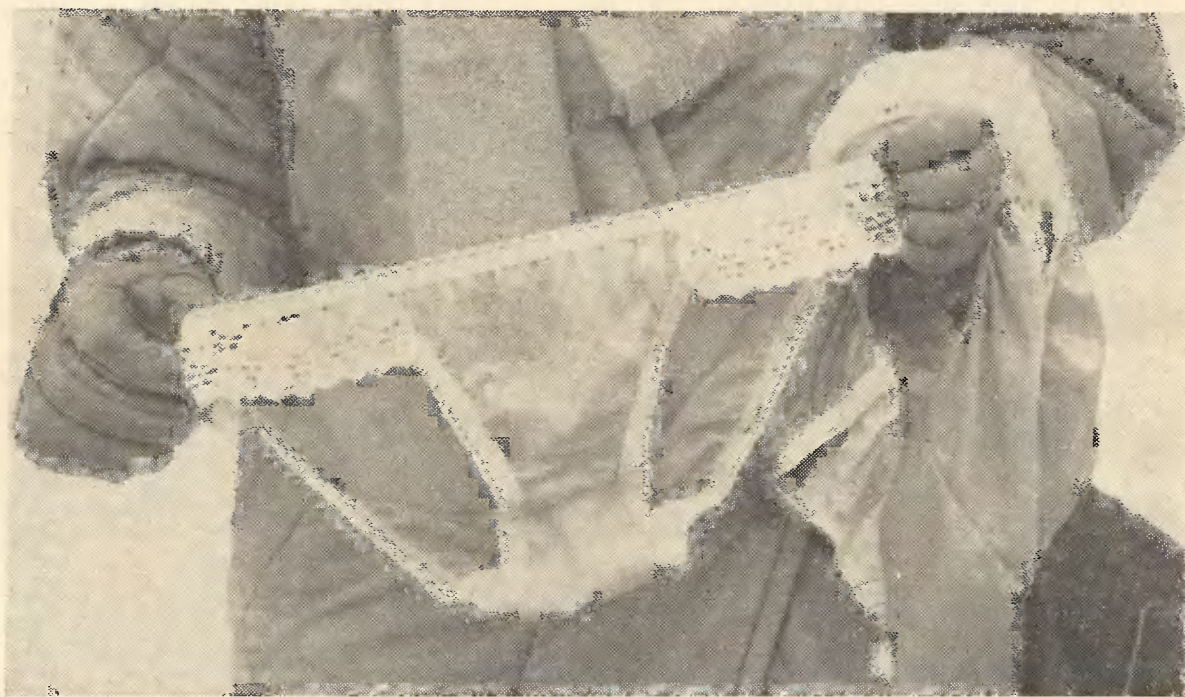
— Tu kameleon, tam kameleon. Kochani jesteśmy w kameleonii.

W zasadzie można by na tym skończyć relację, bo młody człowiek postarał się o zupełnie niezłą pointę. Ale zmiana twarzy czy też — jak kto woli — dostosowania się do nowych warunków, to tylko jedna strona zaobserwowanego medalu. Fakty mówią: w WOKI nie rządzi już polityka, lecz ekonomia z prawdziwego zdarzenia. Nie wcisną się kitu, lecz towar — w celach czysto zarobkowych. Ludzie PZPR wzmacniają się finansowo.

To spostrzeżenie jest tutaj najistotniejsze.

MICHAŁ KOLSKI

HANDEL BOGACI



fot. J. Sysół

Najmniej zbliżają narody oficjalne oświadczenia o wieczystej przyjaźni. Trochę bardziej historyczne sentymenty (np. Polaków i Węgrów). Najbardziej zaś wzajemnie korzystne interesy.

Już od początku rządów Edwarda, gdy zliberalizowano przepisy paszportowe, rozpoczęły się nasze eskapady handlowe do bliższych i dalszych sąsiadów. Trwają one do dzisiaj przynosząc obywatelom niezłe dochody, wzbogacając rynek o deficytowe towary, a państwo o równie deficytową mocną walutę. Biura podróży organizują rozliczne wy-

cieczki o wyraźnie handlowym profilu. Jeździmy do Turcji po kożuchy i koszulki (z krokodylem); z NRD przywozimy buty, bieliznę, sprzęt mechaniczny itp.; ze Związku Radzieckiego artykuły gospodarstwa domowego, aparaty fotograficzne, zabawki, złoto. To tylko przykłady. I na nic się zdają biadania moralistów o „poniżonej godności”. Wstydzicie powinni się raczej ci, którzy doprowadzili nasz kraj do takiego stanu, że obywatele muszą ratować się indywidualnym handlem. Zwalczają oni przy tym najrozmaitsze trudności: granice celne, naloty mi-

licji (lub policji) na targowiska, kłopoty ze zbytem niektórych artykułów. Przejścia graniczne są nierzadko loterią — uda się lub nie. Pół biedy gdy odprawę załatwi wsunięty do ręki banknot jak w przypadku celników tureckich. Gorzej, gdy część towaru ulegnie konfiskacie lub ocleniu. Może to położyć ciałe przedsięwzięcie. A kłopoty się mnożą. Handlowa eskapada do ZSRR stoi na granicy bardzo ryzykownego hazardu. Ostatnie przepisy zabraniają wywożenia z tego kraju praktycznie wszystkiego. Najwięcej zależy od dobrego ukrycia towaru, szczęścia

lub dogadania się z sowieckim celnikiem. Na porządku dziennym jest niszczenie przez Polaków zakwestionowanych przedmiotów, często dużej wartości — rąbanie telewizorów, palenie rowerów itp. Paskudne są przejścia graniczne z NRD i Czechosłowacją. Głośne są też akcje policyjne przeciw naszym rodakom handlującym w Szwecji i Berlinie Zachodnim.

Dzisiaj, gdy sytuacja kraju jest tragiczna, indywidualny handel obywateli to rzecz jak najbardziej pożądana. Rząd powinien czynić wszelkie kroki dla popierania tego zjawiska. Z punktu widzenia prawa polskiego jest sprawą najzupełniej obojętną czy ktoś łamie celne przepisy np. NRD lub Szwecji. Natomiast polskie przepisy należałoby zliberalizować w sposób maksymalny. W obecnych warunkach jakiegokolwiek cło wwozowe (poza alkoholem i tytoniem) jest bezsensowne. Natomiast cło wywozowe powinno dotyczyć artykułów bardzo deficytowych i dotowanych (np. lekarstw). Nie uważam, aby przy obecnych cenach masła i mięsa należało się oburzać na ich wywóz do Berlina Zachodniego. Jeśli ktoś chce ryzykować to proszę bardzo, może mniej poledwicy zzielenieje. „Primo non nocere”, ta lekarska zasada powinna stać się na długo dewizą naszego rządu.

Dawna szlachta polska handlem raczej pogardzała. Dziś wykazujemy zmysł do interesów wprost imponujący. To chyba największa korzyść z 45 lat komunizmu w naszym kraju. I nie wiem, dlaczego mamy z tego powodu mieć szczególne kompleksy. Inne narody znacznie bogatsze od nas też handlują i się tego nie wstydzą. Ceny żywności w Szwecji są kilkakrotnie wyższe niż w Danii. Co weekend tysiące Szwedów, mieszkających miast nad Sundem, płynnie promami do swoich sąsiadów na zakupy. Najbardziej cieszą się z tego sklepikarze z Helsingör i Kopenhagi, którzy nawet fundują darmowe przejazdy promem dla obywateli szwedzkich. I jakos nie słychać, aby zamożni Szwedzi wstydzili się tego. Nie miejmy więc i my większych skrupułów. A polscy celnicy niech skoncentrują swoją uwagę na szukaniu narkotyków i dzieł sztuki. Czego im serdecznie życze.

WOJCIECH POLAK

NIEBEZPIECZNE ZABAWY

Byłam niedawno świadkiem kradzieży w „Delikatesach”. Trzech pijacków obstawiało ladę z mrożonkami i na oczach zaskoczonych kolejni ukradło porcję bigosu. Nim ktokolwiek z obsługi zareagował, już zniknęli w tłumie kupujących. Starsza pani tylko krzyczała, że nie muszą kraść zagrychy — mogą iść na darmowe zakupki.

Tego samego dnia zauważyłam jeszcze jedną kradzież — w „Samie” na Nowym Rynku. Dobrze ubrany młodzieniec zwinął jakąś paczkę sproszonej zupy, po czym ulotnił się z paroma kumplami — również jak on przyzwyczajeni ubranymi. Panią ze sklepu, zajęte rozmową, nawet nie zauważyły, a kasjerka patrzyła tylko w koszyki.

Pijakom starczyło pieniędzy na wóde, na jedzenie już nie. Ci młodzi uczą się kraść dla... zabawy, ot taka fantazja. Tylko, że potem próbują ukraść coś bardziej cennego.

Sprzedawczynie w „Delikatesach” mówiła, że kradną teraz nagminnie. Po tem ekspedientki muszą pokrywać niedobory z własnej kieszeni. Nie chcą się domyślać, czy i one będą cwane i, aby nie było manka, doliczą każdemu jakąś sumkę do rachunku.

I tak się toczy nasza codzienność. Kiedyś za kradzież uciano prawą rękę. Zawsze surowo piętnowano złodziei i zawsze zbiorowo się im przeciwstawiano. Teraz niby też, ale na „drobiazgi” przemykamy oczy. Każdy coś ma na sumieniu. To śrubkę, wyniesioną z zakładu, bo nie można jej w sklepie nabyć, to papier, to jeszcze coś innego.

A może by tak zacząć od nowa?

(8)

Kozielesk 22.12.1939 r.

Najdroższa moja!

Staralem się kilkakrotnie dać znać o sobie, jednak nie wiem czy doszła do Ciebie jakakolwiek wiadomość o moim losie. Otóż krótko, jak mi na to pozwalają moje warunki, donoszę Ci, że jestem w ZSRR, dokąd dostałem się po miesiącu walk z Niemcami dnia 2.X. br. Zarówno w czasie walk jak i obecnie jestem zupełnie zdrowy, nie byłem wcale ranny, nie chorowałem ani razu, a moja jedyna dolegliwość, zresztą nie wyłączając Ciebie, to brak wiadomości o Tobie i naszej Aneczce. Przeczucie wprawdzie nie mówi mi nic złego, tym niemniej wiem, że wiele musiałas przeżyć przez te trzy miesiące wojny. Krosno zostało wzięte przez Niemców bez większych walk, więc nasz skarb Aneczka powinna wyjść cało z tej zawieruchy. Nie piszę o sobie żadnych szczegółów, gdyż najpierw pragnę otrzymać wiadomość od Ciebie. Napisz więc kochana pod adresem, jaki podaje w kopercie (Niech Ci napisze ktoś, kto umie po rosyjsku adres).

Pisz ogólnie i tylko w sprawach bezpośrednio nas obchodzących. Ja mogę napisać tylko jeden list na miesiąc więc będę pisał wyłącznie do Ciebie. Ty zaś daj znać o mnie mojej rodzinie. Kiedy wrócę do Was nikt nie jest w stanie przewidzieć, jeśli jednak otrzymam pomyślną wiadomość, to przetrwam, gdyż nic mi nie zagraża, a warunki do życia mamy zupełnie możliwe. Jest możliwość przesłania paczki z kraju wobec tego proszę o przesłanie mi niektórych przedmiotów a mianowicie: sweter, 1 p. rękawic zim., 2 p. skarpet zim., blok korespondencyjny lub zeszyt, ręcznik, kawalek mydła toaletowego i pastę do zębów, kilka chusteczek. To wszystko zapakować w pudełko, którego mógłbym używać. Nie przysyłaj zupełnie żywności, chyba tabliczkę czekolady. Kończę już najdroższa i liczę godziny do chwili otrzymania wiadomości o Was Trojgu.

Twój Franio

Да здравствует СССР.

Ton listu, a także dopisek sprawiły, że list por. rez. Franciszka Korony dotarł z niewoli do rąk żony Reginy. W trzy dni po jego znalezieniu się w Kozielesku urodziła się druga córka, Barbara. Trzyletnia, pierworodna Ania znajdowała się u dziadków w Białobrzegach, dziś dzielnicy Krosna. Była tam bezpieczna.

Z Kozieleska dotarł jeszcze jeden list do rodziców, i jeszcze jeden do żony, datowany 31 stycznia 1940 r., z którego tonu bije radość z otrzymania wiadomości o najbliższych, miłość do nich. Jest jeszcze coś więcej — przygotowywanie się już w niewoli do nowego ładu świata:

...I dziś, gdy los rzucił mnie tak daleko, jednak nie załamam mnie, o nie! Przeciwnie jestem jak najlepszej myśli, czuję się silnym, zdolnym do podjęcia większych wysiłków i przedsięwzięć. Pragnę sposobić się do nowego rozdziału zarówno życia osobistego jak i ogólnego. Bo idzie Renuisju nowy rozdział nowe Czasy i Ideje. Mimo, że tak się złożyło, że jestem skazany na bezczynność, która łamie tutaj słabszych czy nierozumnych,

DA ZDRAWSTWUJET SSSR

ja nie jestem załamany ani przygnębiony, bo czas staram się wykorzystywać jak tylko można. A więc w miarę możliwości staram się poznać najciekawszy kraj świata, w którym mieszkam. Przede wszystkim dużo czasu poświęcam nauce języka rosyjskiego, francuskiego i innych. (...) Idą wielkie wydarzenia. Zbierają się ciężkie chmury. W tych chwilach musisz być sama, dlatego musisz być zdrowa, musisz być silna, by sprostać ciężkim próbom. Jakżeż mogę Ci pomóc, oddalony o setki kilometrów. Bądź przynajmniej spokojną o mnie. Jestem zdrowy i nadal mam co jeść (choć zjadłoby się więcej), traktują nas dobrze. Mieszkamy w miejscowości kuracyjnej, a więc zdrowej (dotychczas był tu obóz wypoczynkowy dla kotchożników sowieckich).

Dopisek tego listu świadczy, że myślał i o innych współwzięniach: Idź proszę na ul. Zeromskiego 66 i powiedz pani doktorowej, żeby napisała do syna.

— Od tej pory mama ani nikt z rodziny nie miał wiadomości o ojcu — mówi pani Anna Korona-Sękowska, wieloletnia pracownica „Elany” — Ojciec był dyrektorem magazynów surowców tytoniowych w Radomiu, naj-



To zdjęcie, wykonane w maju 1940 roku, miało zostać wystawione do Kozieleska, by ojciec mógł zobaczyć swoje córki: Aneczkę i nieznaną mu jeszcze Basię.

większych w Polsce. Urodził się pod Krosnem jako chłopski syn. Wielką pracowitością i nauką doszedł do tak poważnej posady. Rodzicom powodziło się bardzo dobrze. Pomagali wykształcić swoje rodzeństwo, pomagali też finansowo rodzicom. Stać ich było na kupienie i domu, ziemi i jeszcze ściągnięcia dziadka z Ameryki, gdzie trzykrotnie szukał szczęścia i niczego się nie dorobił. Ojciec był wielkim humanistą, miał wszechstronne zainteresowania. Mówił, że w życiu

załuje tylko jednego — że nie będzie miał czasu na przeczytanie wszystkich książek. Bezpartyjny, ale bardzo tolerancyjny wobec podwładnych, którzy przecież należeli do różnych partii i stronnictw. Fascynował go zwłaszcza Związek Radziecki — pierwsze państwo robotników i chłopów. Jakże okrutny był dla niego los — tam właśnie zginął. Leży w bezimiennym grobie w katyńskich lasach — w Koziej Górze.

Pani Regina pożegnała męża w sierpniu 1939 roku, będąc w ósmym miesiącu ciąży. Mąż otrzymał jako pierwszy z Polskiego Monopoli Tytoniowego w Radomiu kartę mobilizacyjną do 72 pułku piechoty. Było to symboliczne, bo był inicjatorem zbiórki pieniędzy pośród społeczeństwa Radomia na broń dla wojska. On to właśnie w imieniu mieszkańców przekazywał wojsku ciężki karabin maszynowy. Wojna była przeczuwana, ale jeszcze odległa. Pani Regina jako żona oficera mogła podjąć kilkutygodniowe oszczędności z banku, ale mąż nie pozwolił. „Ojczyzna w potrzebie” — mówił. No i została z dwójką dzieci w zasadzie bez środków do życia. Młodsza Basia, nie przeżyła ciężkich czasów. Zmarła mając cztery lata.

Pani Regina nie mogła pogodzić się, że mąż zaginał bez wieści. Poszukiwała go wiele lat, jeszcze po wojnie. Ale ślady urywały się w Związku Radzieckim, pod Smoleńskiem. Poszukiwania rodzina rozpoczęła już w 1940 r. W kwietniu 1943 roku ojciec otrzymał wiadomość z Krakowa od PCK, że w ewidencji figuruje Korona Franciszek (bliższe dane per. nie znane) którego zwłoki wydobyto dnia 15.4.1943 z masowego grobu w Koziej Górze k. Smoleńska. Nr zwłok 0157. Przy zmarłym znaleziono kopertę i wizytówkę. Z uwagi na to, że bliższe dane personalne zmarłego nie są nam znane, chwilowo jeszcze nie mamy możliwości ustalić jego tożsamości z poszukiwanym przez WPana.

— Podobna wiadomość nadeszła w 1946 r. z Kairu. W Centrali Poszukiwań Franciszek Korona figurował jako zaginiony w Katyniu. Rozpoczęło się postępowanie sądowe w Radomiu, by uznać oficera za zmarłego. W rodzinnych pamiątkach zachował się odpis skrócony aktu zejścia, wystawiony przez USC — Warszawa Śródmieście: Franciszek Korona urodzony 9 października 1905 r. w Białobrzegi zmarł dnia 15 kwietnia 1943 w Katyniu. A więc za datę śmierci przyjęto odkrycie masowego grobu polskich oficerów i żołnierzy.

— Moja matka — wspomina pani Ania — nigdy nie chciała o tym wszystkim z mną mówić. Bała się o mój los. Wszędzie w życiorysach i ankietach kazała mi pisać, że ojciec zginął w obozie koncentracyjnym. Chciała, bym bezpiecznie skończyła gimnazjum i studia włókiennicze na Politechnice Łódzkiej. W okresie stalinowskim na samo słowo „Katyń” miałabym zamknięte



Państwo Regina i Franciszek Koronowie na spacerze.

przed sobą wszystkie uczelnie. Matka przez 48 lat kierowała żłobkiem, łapała też dodatkowe zajęcia, by mi zapewnić dostatek i wykształcenie. Miałam do niej nieraz żal, że siedzę sama w domu. Już przed śmiercią żalowała, że może nie trzeba było tak pracować, że trzeba było mi więcej czasu poświęcić. Przyszedł 1981 rok. Dopiero wtedy zaczęłyśmy wracać do przeszłości. Matka cieszyła się, że nareszcie zatrzymuje prawdę. Zmarła dwa lata potem.

Kiedy w październiku otrzymała pani Anna wiadomość od Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa w Warszawie, że może uczestniczyć w pielgrzymce do Katynia, nie zastanawiała się ani chwili. Władze paszportowe stanęły na wysokości zadania. Szybko z córką Renatą otrzymały paszporty. Wyjechały z 420 osobami 29 października. W pociągu były trzy wdowy po pomordowanych, dzieci, wnukowie, znajomi, księża. Po 14 godzinach podróży dotarły do Smoleńska. Tam oczekali dwie godziny na bocznicy, potem Rosjanie podstawili autokary, które zawiozły ich do Katynia.

Kilkugodzinny pobyt tam zamienił się w wielką patriotyczną manifestację. Na wieść o pielgrzymce przyjechał senator amerykański Zbigniew Brzeziński. Czuwał z nimi do końca. Rosjanie nie mieli odwagi zdjąć z symbolicznej tablicy napisów wskazujących, że zbrodnie dokonano NKWD w 1940 r., lecz nie pozwolili nikomu dojść do willi, w której mieszkali oprawcy. Atmosferę pielgrzymki oddawał telewizyjny reportaż, którego tłem były listy Franciszka Korony czytane przez panią Anię. Znalazły się tam i jego zdjęcia.

Zawiozłam mu ziemię z Krosna i Radomia, z miejsc, gdzie był szczęśliwy, by mu ziemia tamta lżejszą była.

GRAZYNA GÓRSKA

Braunschweig 24 XII 39

Modlitwa za Ojczyznę

Boże, Któryś wrócił naszej Polsce życie,
Aby ją utwierdzić w wyznawaniu Twojej wiary
Dziś proszą Cię wszyscy o Twoje przybycie
A wraz z wiernym ludem i żołnierz nasz szary.

Niech promień Twej łaski dzisiaj z nieba spłynie
I rozjaśni serca zakute w boleści
Z cudów Twej wszechmocy cały świat dziś słynie
Wolamy do Ciebie po stracie wolności.

Miej nas w swojej opiece prosimy ze łzami,
Abyś nam dał Wolność i wrócił Jej życie
Ty Królowo Polski przyczyn się za nami
Nie dopuść Jej zginąć, wróć Ojczyźnie życie.

Nie karz nas za grzechy, bądź miłościwy
Z tego łez padłołu ślem korne modlitwy
Spójrz łaskawym okiem na lud Tobie wierny
I błogostaw Polsce na jej święte bitwy.

W obronie Twej wiary dobyliśmy miecze
Dziś, gdy wróg się pastwi i krwią ziemia ciecze
Zlituj się nad Polską prosi żołnierz szary.

Żyjemy w nadziei, że Ty nas wysłuchasz,
I zesłesz nam Piękną Jutrzenkę Wolności
Boś Ty nam powiedział, że dzieci Twe kochasz
Bośmy są częścią z Męczenników kości.

My w moc Twą wierzymy i prosimy Ciebie
Daj nam łaskę Twoją przetrwania w niewoli
Dziś się Bóg narodził, wielka radość w niebie
Bóg nam łaskę ześle, poda dłoń w niewoli.

Radujmy się bracia z Narodzenia Boga
Śpiewajmy kolędy z chórami aniołów
Niech w sercach nas wszystkich myśl jaśnieje błoga
Ze Polska powstanie z synów jej popiołów.

„Modlitwa za Ojczyznę” pochodzi ze spuścizny rękopiśmiennej Karola Górskiego (1903—1988), historyka, profesora UMK. Profesor poezji nie uprawiał, choć był mistrzem słowa. Pełną wiary i nadziei „Modlitwę” zanotował w wigilię Bożego Narodzenia 1939 r., kiedy przybierał w niemieckiej niewoli.

Tekst suplikacji zachował się w brulionie z obozowymi zapiskami, które ppor. rez. Karol Górski prowadził najpierw w oflagu w Brunshwiku (Braunschweig), a później w Woldenbergu. Teraz z innymi pamiątkami po Profesorze pokazywany jest w Bibliotece Uniwersyteckiej w Toruniu na wystawie poświęconej wojennym losom pracowników UMK.

W wigilijny wieczór, przed pięćdziesięciu laty, Karol Górski, ów „żołnierz szary”, prócz pióra miał w ręku i opłatek, po którym do dzisiaj we wspomnianym zeszytce zachowała się banderolka z wizerunkiem Trzech Króli składających pokłon Bożemu Dzieciątku i ze słowami: „Gloria in excelsis Deo”.

ROMAN T. MARCHWIŃSKI



DO ZUŁOWA

Jest poniedziałek, 4 grudnia 1989 r., przedpołudnie. Trójka toruńskich wilnian, tj. Michał Wazgird, Wiesław Zurowski i podpisany, pędzimy autem, prowadzonym przez Jana Markowicza, też „wilniuka”, obecnie mieszkająca Podbrodzia i działacza Związku Polaków na Litwie, ku północno-wschodnim krańcom Wilna. Mignęła szlachetna fasada kościoła św. Piotra i Pawła, jedziemy równoległe do Wilii ul. Sapieżyńskiej, która od niedawna też oficjalnie tak nie znów nazywa, tyle że po litewsku. Już jesteśmy za miastem, to dawny trakt połocki.

Wilię przejeżdżamy koło Niemenczyzna i już wkrótce jesteśmy w Podbrodziu, 50 kilometrów od Wilna. Ten lokalny ośrodek, liczący obecnie około 8 tysięcy mieszkańców leży nad bogatą w wodę rzeką Zejmianą, dopływem Wilii. Na ulicach i w sklepach najczęściej słyszy się polską mowę. Dalej pojedziemy, jako z przewodnikiem, z naczelnikiem gminy, także działaczką Związku Polaków, panią Walentyną Subocz.

Teraz skręcamy na wschód. Wkrótce jesteśmy we wsi Powiewiórka. Na prawo od drogi, na lekkim wyniesieniu, za kamiennym murkiem wznosi się drewniany kościół pod wezwaniem św. Kazimierza, zbudowany w 1774 r. Jego wnętrze jest pełne światła i schludnie utrzymane, choć ksiądz dojeżdża tylko w niedzielę. Gdy się wejście do tej świątyni i odwróci od neogotyckiego ołtarza głównego na balustradzie chóru rzuca się w oczy napis, skreślony nieco archaiczną kaligrafią na prostokątnej tablicy: „Kościół Sorokpolski /miejsce chrztu/ Marszałka Józefa Piłsudskiego

/Wodza Narodu/ od synów tej ziemi”. W kącie prezbiterium, przytulona do głównego ołtarza, stoi nieduża, drewniana ale kształtna chrzcielica, z przykrywką, zamykaną kluczem. Przy niej właśnie — „Roku tyśiąc osiemset sześćdziesiątego siódmego dnia 15 grudnia w Sorokopolu w kościele rzymsko-katolickim Ks. Tomasz Woliński, proboszcz tego kościoła, ochrzcił z zachowaniem obrządków sakramentu imieniem Józef Klemens niemowlę płci męskiej, urodzone tegoż roku dnia 5 grudnia w dobrach Zułów, parafii sorokpolskiej, syna małżonków ślubnych Józefa i Marii z Billewiczów Piłsudskich, stanu szlacheckiego. Trzymali do chrztu: Józef Marcinkowski z Konstancją Rogalską, oboje stanu szlacheckiego”. Józef Klemens był czwartym z dzieci, a drugim z synów, po Bronisławie, małżeństwa Piłsudskich. Mieli oni 12 dzieci, z których najmłodsza piątka urodziła się już w Wilnie.

Za Powiewiórką zjeżdżamy z asfaltowej szosy i jedziemy drogą polną. Po kilku kilometrach na lewo wśród pól widać grupę pięknych drzew. To jedyny ślad po dawnym dworze sorokpolskim, gnieździe rodziny Soroków. Jeszcze kilka kilometrów i wyboista droga skręca w lewo, zbliżamy się do Zułowa.

Nie każdy z współczesnych Polaków potrafi z czymś skojarzyć tę nazwę. Przez długie lata nie było jej na stronicach ksiązek i czasopism, a nawet podręczników historii.

Nazwa Zułów (czasami spotyka się Zułow) znana jest od XVII w. W 1856 r. odziedziczyła go 14-letnia Maria Billewiczówna z owego sienkiewiczowskiego

Ż U Ź E Ł

Nie zamierzam pisać tutaj o sporcie. Tytuł wyjaśni się w dalszej części tekstu. Chciałbym przybliżyć zasady funkcjonowania w wojsku tzw. aparatu partyjno-politycznego. Problem jest o tyle interesujący, że pozwala przyjrzeć się bliżej mechanizmowi państwa totalitarnego. System monopartyjny wywarł negatywne piętno na każdej dziedzinie naszego życia, zaważył na losach wielu ludzi. W szczególności zdominował działania resortów: MSW, wymiaru sprawiedliwości, administracji i wojska.

Już w partyzanckich oddziałach Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, jak i w Armii Polskiej w ZSRR, a następnie w Ludowym Wojsku Polskim ideowo-polityczne kierownictwo sprawować zaczęli komuniści. Szybko wkomponowali w strukturę wojska aparat partyjny, który stał się instrumentem ich panowania nad armią. Czerpali z wzorów organizacji armii wypracowanych przez Lenina, któ-

ry obok dowódcy wprowadził funkcję komisarza wojskowego. Komisarz sprawował kierownictwo partyjno-polityczne, odpowiadał za stan moralno-polityczny i bojowy podległych żołnierzy. W ten sposób na stałe utrzymała się zasada dominacji kierownictwa politycznego nad wojskowym.

W naszej armii PZPR kierowała całokształtem jej życia. Sprawy te formalnie regulowała (reguluje?) instrukcja KC PZPR o zadaniach, kompetencjach i strukturze organów partyjno-politycznych oraz organizacji partyjnych w Siłach Zbrojnych PRL. Organ najwyższy, Główny Zarząd Polityczny (GZP) podlegały bezpośrednio Komitetowi Centralnemu stanowił swoisty pas transmisyjny, przekładający treści uchwał kolejnych posiedzeń plenarnych KC na język wojska. Im niżej sływały dyrektywy, tym gorliwiej były wykonywane, co wykazywano w licznych sprawozdaniach i staty-

tykach. Stworzono dyscyplinę naukową, wykładaną na poważnych uczelniach wojskowych, nazwaną pracą partyjno-polityczną, w żargonie studentów w mundurach tzw. „żużel”. W ramach tego przedmiotu zastanawiano się intensywnie np. nad metodyką prowadzenia zebrania partyjnego, funkcjonowania ZSMP itp. Dzięki takiej pracy badawczej wielu osobom udało się dosłużyć wysokich stopni naukowych i wojskowych.

W chwili gdy to piszę (28 listopada g. 23.00) w wiadomościach radiowych słyszę informację o przemianowaniu GZP na GZW (Główny Zarząd Wychowawczy). Podano też o likwidacji etatowego aparatu partyjnego. Dotychczasowy aparat polityczny ma być aparatem wychowawczym. Z własnych źródeł wiem, że katedry „żużla” będą przekształcone w katedry wychowania obywatelskiego. Już widzę ten ruch wokół szybkich zmian szyldów na budynkach i drzwiach gabinetów. Mam podstawę sądzić, że oprócz rzeczywistej likwidacji etatów partyjnych, reszta zmieni tylko szyldy. Dotychczasowi czołowi „żużłow-

nicy”, zarówno ci od teorii, jak i praktyki, zaczną z gorliwością tworzyć koncepcje tym razem wychowania obywatelskiego. Przypomni im się też prawo Parkinsona i cały wysiłek intelektualny skierują na uzasadnienie racji swojego bytu, a i o swoich partyjnych kolegach nie zapomną starając się dla nich o ciepłe synekury. Cała para pójdzie w gwizdek. Nie chcę przy tym negować potrzeby istnienia pionu wychowawczego w wojsku i będę starał się to wykażać w kolejnych artykułach.

Nie wyobrażam sobie jednak w nowej roli osób, które doprowadziły do tego, że aparat partyjno-polityczny był narzędziem w ich rękach, służącym wielokrotnie do inwigilacji życia osobistego kadry, kontrolującym jej umysły. Obecnie te osoby przechwytyują monopol na nową formułę pracy pionu wychowawczego.

Trzeba pamiętać, że reformy tworzą i realizują ludzie. A my cóż widzimy? W górnych warstwach po staremu, tylko „beton” bardziej stężał. Ciężko będzie go rozkruszyć...

ZBIGNIEW LUBOCHENSKI

rodu, ale ostatecznie do obszer-
nego, modrzewiowego dworu
zułowskiego przybyła ze swym
dopiero co poślubionym mężem
Józefem Wincentym Piłsudskim,
herbu „Kościeszka odmienna”, w
końcu 1863 r. Ten, ze starego
rodu żmudzkiego, będąc w cza-
sie insurekcji styczniowej komi-
sarzem powstańczym powiatu
rosieńskiego, opuścił swe rodzin-
ne strony, aby zniknąć z oczu
lokalnych władz rosyjskich. W
Zułowie rozwinął wielką aktyw-
ność gospodarczą i inwestycyjną,
przy tym z zamiłowaniem i ta-
lentem muzykował. Niestety,
gwałtowny pożar w suchy i
wietrzny dzień lipcowy 1875 r.
spopielił dwór i większość in-
nych zabudowań oraz dobytku.
Młodzi Piłsudscy zamieszkali na
krótko m.in. w niedalekich
Świranach Rossochackich, dziad-
ków późniejszego profesora i re-
ktora USB Witolda Staniewicza,
ostatecznie jednak rodzina prze-
niosła się do Wilna. Tylko ojciec
pomieszkował w oficynie, która
w czasie I wojny światowej spa-
liła się przez nieostrożność żoł-
nierzy niemieckich. Pani Maria
Piłsudska przedwcześnie zmarła
w 1884 r., a sytuacja finansowa
rodziny była coraz gorsza. Zu-
łów w 1892 r. poszedł pod licy-
tację. W maju 1919 r. okolice
Zułowa zajął 5 p.p. Legionów, w
tamtych też roku był w swych
stronach rodzinnych Józef Pił-
sudski i ze smutkiem oglądał
ruiny. Wówczas to zdaje się
przyrzekł podnieść Podbrodzie
do godności miasta.

Po I wojnie światowej była to
już tylko zapuszczona resztówka.
Ale w 1934 r. na zjeździe Zwią-
zku Rezerwistów w Warszawie
postanowiono ogłosić ogólnopol-
ską zbiórke wśród rezerwistów
i wykupić ziemię oraz ją sto-
sownie urządzić. W drodze kon-
kursu przyjęto projekt inż.-arch.
Romualda Gutta. Teren daw-
nych zabudowań dworskich i
folwarcznych urządzono jako ro-
dzaj skansenu historycznego.
Zarysy fundamentów dworu wy-
łożono potężnymi, odpowiednio
obrobionymi głazami. Na poblis-
kiej linii kolejowej Podbrodzie-
-Lyntupy zbudowano stację w
stylu dworowym. Wielka uro-
czystość zakończenia prac w Zu-

łowie odbyła się 10 październi-
ka 1937 r.

**A jak wygląda Zułów w roku
1989?**

Zachowała swą urodę Mera,
łukiem opływająca obszar daw-
nego dworu i folwarku, choć
niewiele zachowało się nad jej
brzegami starodrzewu. Na roz-
jeżdżony ciężkimi, gąsienicowy-
mi traktorami majdan, z błotem
do kostek, prowadzi do niczego
nie potrzebna brama, bo płotów
nie ma. Na miejscu dworu i o-
taczającego go plateau stoi obec-
nie wielka, pokraczna, betono-
wa obora sowchozu, do budowy
której fundamentów zapewne
użyto kamieni wytyczających
zarys dworu. Na lewo od tej o-
bory zachowała się dolna, wy-
muruwana z cegieł, część sta-
rej wędzarni z czasów Piłsud-
skich o zgrabnej niegdyś syl-
wetce, dobrze widoczna na pra-
wie wszystkich starych zdjęciach.
W miejsce wysmukłej, górnej,
drewnianej części przykrywa ją
obecnie prymitywny daszek. Za
resztkami wędzarni stoi rozsia-
dły drewniany budynek dawnej
piekarni folwarcznej, przed woj-
ną służący jako muzeum. Jest
też przeniesiony za rzekę, na
skraj sosnowego lasu, jeszcze w
trakcie budowy, w 1936 r., dre-
wniany budynek, zaprojektowany
przez inż. arch. Jana Borow-
skiego. I, dziwnym zrzędzeniem
losu, za oborą, w kącie rośnie
spokojnie młody dąb. To właś-
nie symboliczne drzewo zostało
posadzone 10 października 1937 r.
przez prezydenta Rzeczypospoli-
tej Ignacego Mościckiego, Mar-
szałkową Aleksandrę Piłsudską
i inne osobistości, w miejscu,
gdzie ongiś była sypialnia rodzi-
ców późniejszego Naczelnika
Państwa.

O tym wszystkim nie wiedzą
zdaje się napływowi pracownicy
zułowskiego sowchozu, ale też
nie słyszą, aby w urokliwe
strony nad Żejmianą i Merą
pielgrzymowali licznie rodacy,
ostatnio tak chętnie odwiedza-
jący Wilno i jego magazyny han-
dlowe.

Czyżbyśmy mieli biernie pogo-
dzić się z rzymską sentencją —
„sic transit gloria mundi”?

SŁAWOMIR KALEMBKA

ŻOŁNIERZU CZERWONEJ ARMII POMŚCIJ ICH

To część napisu z pewnej
tablicy. Za kogo ten żołnierz
Czerwonej Armii miały się
mścić? To też napisano na ta-
blicy:

*Tutaj w lesie katyńskim, je-
sienią 1941 roku, hitlerowscy
bandyci rozstrzelali 11.000 jeń-
ców wojennych — żołnierzy i
oficerów polskich*

Żołnierz Czerwonej Armii z
roli mściciela prawie, że nie
wychodzi. W 1956 pomścił
kontrewolucję na Węgrzech,
w 1968 wspólnie z nami rebe-
lię w Czechosłowacji, ostatnio
Babraka Karmala w Afganista-
nie. Niemalże od początku wia-
domo było, że tym razem ban-
dyci nie byli hitlerowscy, a
trochę później ilu i kogo za-
mordowano. Wszystko akurat
nie tak jak na tablicy.

Fotografia tablicy znajduje
się w książeczce o sugestyw-
nym tytule „Prawda o Katy-
niu”. Książeczkę wydano na-
kładem Związku Patriotów
Polskich w ZSRR w Moskwie,
w 1944 roku. Cel wydania jest
przejrzysty. Armia Czerwona
wkracza na ziemię polskie. Lu-
dzie witający tę armię muszą
być przekonani, że idzie armia
mścicieli za Katyń. Wystarczy-
ło wysupłać 50 kopiejek, bo
tylko tyle chcieli polscy patrio-
ci za prawdę. Kiedyś też ktoś
sprzedał Prawdę, ale cenil ją
jednak wyżej.

W książeczce swoimi uwaga-

mi dzieli się kilku korespon-
dentów gazet zachodnich, ksiądz
major Kubisz się modli — a
wszyscy według instrukcji z ta-
blicy. Ton nadają Wanda Wa-
silewska i Jerzy Borejsza.
Wanda Wasilewska jako puł-
kownik Czerwonej Armii mia-
ła pełne prawo do nazywania
siebie patriotką polską i do
dawania świadectwa prawdzie.
Ta prawda ma długi żywot, do
jej pilnowania zmobilizowano
już kilka pokoleń mścicieli. A
starali się być bardzo skutecz-
ni. Bronili jej funkcjonariusze
służb publicznych. Bronili jej
nauczyciele. W szkole o tym
nie uczono, a jeżeli wspomnia-
no, to tylko tak, jak nakazy-
wała patriotka-pułkownik. Ile
mózgów zostało porażonych tą
i innymi prawdami?

Jeszcze niedawno Urban ka-
zał czekać na wyniki badań
komisji. On sam osobiście pew-
nie nie ma wątpliwości, ale
usiłował jeszcze robić mętlik w
głowach. Zostawić to komisji,
a ona zadecyduje. To jest ofi-
cjalna trzecia komisja. Pierw-
sza powołana przez Niemców,
wskazała Rosjan, powołana
przez Rosjan wskazała jak na
tablicy, a ta trzecia?

Na wyniki jej prac czeka je-
szcze pułkownik Górnicki. Ma
dalej poważne wątpliwości, a
jego oburzenie na „onfronta-
cję”, które zamieściły na czó-
łówec pomnik katyński, wygła-
da na bardzo autentyczne. Bę-
dąc karnym żołnierzem uważa,
że pułkownik powinien przy-
jmuwać za własne to, co każe
pułkownik — szczególnie Cze-
wonej Armii.

Pułkowników w PRL jest
sporo, ale ten jeden ma szcze-
gólny status. Jest doradcą pre-
zydenta, który ma poważne
uprawnienia w naszym syste-
mie. Układ prezydent-doradca
jest bardzo ulotny. Czy dorad-
ca mówi to co chce prezy-
dent — czy prezydent postępu-
je tak jak mu doradzi pułkow-
nik. I tak źle, i tak niedobrze.

Ludzie próbujący nas ogłu-
piać istnieją nadal. Ich „praw-
da” i prawda najprawdziwsza
muszą być skonfrontowane.
Ta niedostępna już dzisiaj
książeczka powinna być rozpo-
wszechniona. To przecież na-
sza historia, to świadectwo
okresu, który idzie w niebyt,
ale niech nie idzie w niepa-
mięć.

JÓZEF CIEMIELEWSKI



Rys.
Jan K.
Wiślicki

DOM NADZIEI

ciąg dalszy ze str. 1

DZIECI

Są to dzieci nieznane. Im podobnych nie spotyka się zbyt często na ulicy. Odsunięte od głównego nurtu codziennego życia gdzieś na wstydliwy margines, mogą doczekać żywszego sobą zainteresowania jedynie przez uczniów i studentów szkół medycznych. Jako przypadki chorobowe.

Są to dzieci niechciane. Z chwilą umieszczenia ich tutaj są wymazywane z pamięci rodziny. Jedynym aktem przyznania, iż jest się jednak rodzicem takiego dziecka, bywa z reguły uiszczona za jego pobyt niezbyt wysoka opłata, nie gwarantująca pokrycia całkowitych kosztów utrzymania. Amnezja ogarniająca rodziców nie jest zależna od statusu społecznego. Tak samo zachowują się ci z wielkich miast, jak i z małych wiosek, ci z tytułami i bez.



Ula i Hania — Chełmno 21.XI.89

Do małej Uli, dziewczynki o niezwykle urodziwej twarzyczce, nie przyjeżdża już nikt od pięciu lat. Ani matka, ani ojciec, ani siostra. Nikt. Nie reagują na słane im zdjęcia. Ładne dziecko bez ładnych nówek dla nich nie istnieje. A dziesięciolatka marzy o powrocie do domu. Snuje plany swojego w nim pobytu. Pomocy mamie w domowych czynnościach. Przecież może się poruszać. Samodzielnie otworzy drzwi. Umie czytać. Dlaczego o niej zapomniano. Przecież...

Te dzieci naprawdę można kochać — mówi siostra przełożona Krystyna Jaroszevska — Najbardziej upośledzone wyczuje instynktownie czy zbliża się do niej osoba, która jej akceptuje. Ono także chce być kochane. To jest niezależne od stopnia rozwoju psychicznego.

Są niezakłamane, bez zdrady. Dzięki temu za wszystko, co im się da dobrego, są bardzo wdzięczne. To jest jedyna rekompensata za trudną przy nich opiekę. Dlatego mogą się nimi opiekować tylko ludzie z powołaniem, czystymi intencjami. Inaczej szybko się zniechęcają.

Wytrwałość daje czasami zdumiewające efekty. Dwunastoletnia Hania przez długie lata zaliczana do imbecyli, aż do ósmego roku życia tylko leżała. W wyniku indywidualnej nauki w tej chwili chodzi, potrafi czytać, rozumie liczby do 100. Prawdopodobnie przejdzie do szkoły specjalnej. Nieznany jest kres możliwości tego cicho cierpiącego, szczerze poowijanego dziecka.

Te zapomniane przez bliskich dzieci otrzymują swą cząstkę miłości od osób obcych, od sióstr.

SIOSTRY

Należą do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia Św. Wincentego a'Paulo, założonego w 1633 roku przez Św. Ludwikę de Mariac i francuskiego księdza, którego imię nosi Zgromadzenie.

Niósł on pomoc ludziom opuszczonym i ubogim. Zakładał dla nich szkoły, warsztaty pracy. Siostry opiekowały się ludźmi starszymi, niedołężnymi. Zajmowały się więźniami. Pomagały rannym na frontach toczących się wojen.

Współcześnie odwiedzają chorych w domach, katechizują dzieci, pracują w szpitalach — jeszcze niedawno można je było tam dojrzeć pracujące w charakterystycznych białych kornetach.

W Chełmnie przebywają już od 300 lat. Budynki klasztorne, w których obecnie znajdują się Domy Pomocy Społecznej, istnieją ponad 100 lat. Od początku z siostrami zamieszkiwali chorzy, ubdzy, opuszczeni i samotni ludzie. Przede wszystkim młodzież i osoby starsze.

Po wojnie do lat 60. prowadziły zwykłe przedszkola dla miasta. Później im je odebrano, a w zamian polecono opiekować się dziećmi i młodzieżą głęboko upośledzoną. Obecnie, opiekują się około 240 dziećmi oraz około 70 starszami.

PROBLEMY

„Najpoważniejszym jest zbyt duże zagęszczenie — mówi dyrektorka Domu Pomocy dla Dzieci, Siostra Maria Kaczor. — Część dzieci po przekroczeniu 18 roku życia powinna przejść do Domów Opieki dla Dorosłych. Ale tych jest za mało. Ponieważ nie było to nigdy budownictwo priorytetowe, dlatego na wolne miejsce czeka się latami. Najczęściej zwalnia się po czyjejś śmierci.”

Wokół Chełmna nie ma Domu Pomocy dla Mężczyzn, toteż w 60-osobowej grupie chłopców prawie połowa jest przerośnięta. Blokują miejsca dla następnych około 20 dzieci.

Budynki klasztorne są nie przystosowane do prowadzenia takiej działalności. Pomijając fakt, że są stare i wymagają nieustannych remontów, nie sposób wprowadzić tu i tak istotnej innowacji jak winda, niezbędna dla osób posługujących się wózkami inwalidzkimi. Szczupłość pomieszczeń nie pozwala na wygospodarowanie osobnej sali do rehabilitacji, która w tej chwili odbywa się w małej sali gimnastycznej. Niecierpliwie oczekiwany jest moment założenia gazowego centralnego ogrzewania. Uwolniłoby to od ciągłych kłopotów ze składowaniem ton koksu na małym podwórku. Trudno się też dziwić, że szczytem marzeń dyrektorki jest mały basen czy samochód-sanitarka, którym mogłaby przewozić dzieci do specjalistycznych zakładów leczniczych. Kto pomoże temu Domowi? Który z decydentów zwróci uwagę na wiele podobnych, zatłoczonych, bez wygód, prawie umieralni? Kto jest władny wydać decyzję o budowie nowoczesnych Domów Pomocy Społecznej?

Pamiętajmy, że ludzie w nich przebywający są dla nas nie tylko problemem społecznym. To również problem moralny. Nasz stosunek do niego świadczy o naszym humanitaryzmie, o tym jak daleko odeszliśmy od Sparty.

TERESA BORCHARDT

WYGONIĆ DIABŁA Z WPHW

ciąg dalszy ze str. 1

nym kodeksie cywilnym ani handlowym nie ma pojęcia zarządcy. Uchwała Rady Pracowniczej mówiła o przekazaniu przedsiębiorstwa dyrektorowi Zbigniewowi Kamińskiemu w dzierżawę.

13 lipca oficjalnie zanegowany zostaje aspekt prawny umowy. Dochodzi do konfliktu pomiędzy przewodniczącym Rady Pracowniczej a dyrektorem Kamińskim. Zbliża się koniec lipca. Konflikt zostaje zażegnany, a powaśnione strony ogłaszają wspólny komunikat, w którym informują załogę o sytuacji przedsiębiorstwa. WPHW ma nadal pozostać przedsiębiorstwem państwowym, a jego dyrektorem — dotychczasowy dyrektor Zbigniew Kamiński, który po ciężkim okresie udaje się na urlop. Na biurku wojewody leży nie wycofana rezygnacja.

Sytuacja finansowa przedsiębiorstwa z dnia na dzień pogarsza się. Pracownicy żądają podwyżek. Wielu mówi o odejściu. Zaczynają krążyć plotki o roz-

wiązaniu firmy. Pod koniec sierpnia dyrektor Kamiński wraca z urlopu. Ku zdziwieniu wszystkich oznajmia, że odchodzi. Nie pomagają interwencje i prośby. 1 października jego rezygnacja nabiera mocy prawnej. Jego dyrektorem toruńskiego WPHW.

Organ założycielski ogłasza ogólnopolski konkurs na dyrektora. Żaden z ubiegających się kandydatów nie spełnia kryteriów konkursowych. Tymczasem przedsiębiorstwem kieruje Henryk Lewandowski, dotychczasowy dyrektor ds. handlu. Jego decyzje nie przysparzają firmie dochodu, raczej przeciwnie. Dyrektor Lewandowski zakupuje pewną ilość dolarów w czasie do tego najmniej odpowiednim oraz rupie indyjskie, które miały być wykorzystane w transakcji handlowej z Indiami. Do transakcji jednak nie dochodzi. WPHW nie ma złotych, nie ma towaru, dolary tracą na wartości, a z rupiami nikt nie wie co począć. Sy-

tuacja przedsiębiorstwa jest coraz trudniejsza. Zgodnie z czynnościami proceduralnymi powinien odbyć się drugi konkurs. Czas jednak nagli, więc strony zainteresowane, w tym również „Solidarność”, dochodzą do porozumienia, że dyrektora wybierze Rada Pracownicza. Obniżone zostają kryteria. „Solidarność” przeprowadza sondaż wśród pracowników dotyczący wyboru kandydata. Znamienne jest to, że pracownicy handlu przeciwstawiają się kandydowaniu na dyrektora naczelnego Henryka Lewandowskiego, ich bezpośredniego przełożonego. Podobną opinię wyrażają pracownicy pionu usług o swoim przełożonym, dyrektorem ds. usług, Stanisławie Strzeleckim.

— Początkowo nie mieliśmy swojego kandydata — oznajmia przewodnicząca Alicja Brożyna.

— W końcu musieliśmy się na kogoś zdecydować — dodaje Bogumiła Mieszko, członek Prezydium KZ „Solidarność” i Komisji ds. Płacowych — i z dwójga złego wybraliśmy, naszym zdaniem, lepszego fachowca — dyrektora Strzeleckiego.

Rada Pracownicza w porozumieniu z regionami i filiami typuje trzech kandydatów: Mariana Arendta, dotychczasowego pełnomocnika dyrektora ds. pracowniczych oraz dyrektorów Lewandowskiego i Strzeleckiego.

Po wstępnych ustaleniach 13 listopada dochodzi do wyboru dyrektora. W jednej sali zasiadają powołana ad hoc Komisja Konkursowa w składzie ośmiu osób i Rada Pracownicza, mająca decydujący głos w sprawie wyboru dyrektora. Obserwatorami są przedstawiciele związków zawodowych. Po przesłuchaniach i naradzie Komisja ogłasza, że 18 punktów uzyskał Strzelecki, 17 Lewandowski i 13 Arendt. Wyniki głosowania Komisji są głosem doradczym, a nie decydującym. Ostateczną decyzję podejmuje Rada Pracownicza, która w tajnym głosowaniu wybiera dyrektora Arendta. Uzyskuje on 8 spośród 17 głosów.

Dwa dni później WPHW aż huczy od plotek i niezadowolona.

CDN

WOJCIECH ZAGUŁA

R O K 1970

„To władza strzela do robotników” — brzmią słowa ballady o Janku Wiśniewskim, który jak wielu, nie doczekał Sierpnia. Trudno dziś szukać winnych masakry na Wybrzeżu sprzed 19 lat, ale najtrudniej — zapomnieć.

Co pamiętają ci, którzy przeżyli?

Doktor Zdanowicz, chirurg ze Szczecina, zaraz po przyjeździe do pracy zamienił przychodnię w polowy szpital. Przygotowano wszystko do przyjęcia rannych. Nikt jednak nie pomyślał o kostnicy.

Pierwsza fala grozy uderzyła wraz z nadciągającą wrzawą, strzałami i tupotem setek nóg pod drzwiami. Potem wniesiono tych pierwszych. Zapach gazu i pierwsze plamy krwi na posadzce. (...) Nie zapisywać nazwisk rannych! Szycie siostrzy! I niech mi pani wytrze oczy, nie nie widzę. Ja nie płaczę to ten gaz. (...) Fartuchy już nie białe. Białe-Czerwone. Chluśnięcie jody na papierowo-białe piersi. Na mostku małej otworek. (...) Ela nóż! Otwarcie klatki piersiowej w przychodni! Boże! Niech pani trzyma! Oddech usta-usta. Jeszcze cięcie nożyczkami osierdza. Już serce na dłoni (...) Pusta!

W przychodni dr. Zdanowicza udzielono pomocy wszystkim. Robotnikom, nie pytając o nazwiska i milicjantom. Aby nie dopuścić do walk na terenie przychodni robiono wszystko, by jedna strona nie wiedziała o drugiej. Milicjantów natychmiast rozbierano z mundurów, ich broń chowano do szufłady w biurku, oni sami przenoszeni byli do gabinetu okulisty na piętrze. Doktor Zdanowicz kilkakrotnie wyrzucał milicjantów, którzy wchodząc do przychodni pytali o rannych robotników. Wyrzucał także tych, co pytali o milicjantów.

W przychodni dr. Zdanowicza zmarły dwie osoby, trzecia w drodze do szpitala. Jeden ze zmarłych do końca trzymał w dłoni swą jedyną broń przeciw czołgom i karabinom — kamień.

18 grudnia wojsko i milicja otworzyły ogień do robotników znajdujących się na terenie stoczni Warskiego w Szczecinie. Relacja Stanisława Wądołowskiego:

(...) Pod naporem stoczniowców czołgi zaczęły się cofać. Robotnicy metr po metr polewali benzyną, podpalali i czołgi musiały się wycofać. (...) Część robotników wyszła przed budynek dyrekcji. (...) I wtedy stała się rzecz najtragiczniejsza. Po prostu na terenie właściwie stoczni — poza bramą i płotem został otworzony ogień. (...) Milicja strzelała jak popadło do tłumu, który stał bardzo gęsto. Zginęły wówczas dwie osoby: młody 19-letni chłopiec (...) i drugi człowiek starszy (...).

Sądząc z toru pocisku — mówi Zdzisław Nagórek, dziś inwalida na wózku — strzał padł z góry, na dachach musieli być snajperzy. Trafiono mnie w szyję, pocisk przeszedł przez kręgi powodując trzycentymetrowy ubytek rdzenia kręgowego. Koledzy zawieźli mnie do szpitala Unii Lubelskiej. Tuż obok mnie na łóżku umarł 20-letni chłopak postrzelony w głowę.

Tragedia państwa Kowalczyków nie rozegrała się na ulicy w czasie walk. Dosięgła ich we własnym domu, który wydawał się bezpiecznym schronieniem. Mówi ojciec 16-letniej Jadzi Kowalczyk: Jadzia siedziała na tapczanie w pokoju od ulicy na I piętrze. Córka Bożena usłyszała straszny huk i wskoczyła do pokoju, w którym była Jadzia i znowu do niej strzelano, ale Jadzia leżała już na parkiecie, a obok jej mózg, ponieważ kula rozzerwała jej głowę. (...) Udałem się do MO z pytaniem dlaczego w domu została zastrzelona moja córka. Odpowiedziano mi, bo wyglądała przez okno, ale w orzeczeniu lekarskim jest napisane rana postrzałowa potylicy. W jaki sposób można tak wyglądać przez okno? Zwłoki Jadzi zabrała milicja, jej rodzice oprawili kawałki czaszki w pudełku, mózg zakopali pod oknem w ogródku.

Osobnym rozdziałem historii wydarzeń grudniowych jest sprawa pogrzebów poległych. Nie były to normalne pogrzeby. Ko-

munistyczna władza, chcąc zatuszować przed światem swą zbrodnię, nie zezwalała na żadne uroczystości żałobne. Wydano także zakaz pochówków w czasie dnia. Informacji o poległych udzielała tylko prokuratura, wyznaczając jednocześnie czas i miejsce pogrzebów. Rodziny zamordowanych nie miały nic do powiedzenia.

Syn pochowany był bez kwiatów, bez wieńców — wspomina matka Stefana Stawickiego — były zamówione, ale nie wiadomo było, kiedy odebrać, bo nie wiedzieliśmy daty pogrzebu. Dopiero na drugi dzień 23 grudnia je zawieźliśmy. Również przyjechała delegacja pań z mojego zakładu pracy z wieńcem (...) i wszyscy zobaczyliśmy, że jest tabliczka i na tej tabliczce widnieje data zgonu 24 grudnia 1970 r. i ja mówię — zobaczcie panie, syn dopiero jutro umrze.

Na takich „państwowych” tabliczkach rodziny z uporem wydrapywały „zginął tragicznie 17 lub 18 grudnia”. Podobnie brzmiały napisy na szarfach wieńców. Takie tabliczki z wydrapaną prawdą były po prostu niszczone lub znikły, wieńce trafiały na śmietnik albo podpalano je wprost na mogiłach. Tylko pogrzeb Stanisława Nadratowskiego, żołnierza służby czynnej, odbył się w ciągu dnia. Tak wspomina to jego rodzina:

W dzień śmierci syna odwiedziliśmy go dwa razy. Opowiadał okrutne rzeczy, jak to MO przebrana w ich mundury stoi wraz z nimi i strzela do niewinnych ludzi. Także mówił, jak milicjant stojący wśród nich strzelił do matki z dzieckiem, a on z nerwów nie mógł tego znieść i podniósł na niego broń, ale go od tego zamiaru wstrzymał koleś. Syn strasznie to przeżył. (...) Wiedział, że jego ojciec, wujkowie i koledzy pracują w stoczni, a syn miał do nich strzelać. (...) W krytycznym dniu w godzinach wieczornych w domu Nadratowskich zjawiono się wojsko. Szukali Stanisława. Opowiedziałem, że nie ma (syna w domu — przyp. KM), a jeden z nich w łzach powiedział, to nie z naszej winy i szybko zbiegł po schodach i pojechał. (...) Chciałem zobaczyć ciało syna, to mi pokazali, syn leżał jak żywy tylko miał rozszarpane czoło. (...) Pochowałem syna tak, jak uważałem za słuszne. Prokurator prosił nas, żeby nie otwierać trumny. Jednak na ementarzu otworzyłem trumnę i podniosłem głowę syna. Zginął na pewno dlatego, że za głośno mówił na temat milicji.”

Ulicznych walk nie sposób było zatuszować, lecz to, co działo się na komendach, jeszcze długo było tajemnicą. Henryk Pietrzyk był wtedy studentem II roku Politechniki Gdańskiej. W okolicy dworca głównego w Gdańsku został zatrzymany przez MO i doprowadzony na pobliską komendę.

Funkcjonariusz zaprowadził mnie do komendy — mówi H. Pietrzyk — i jak zamknął drzwi to się zaczęło. (...) Nie jestem w stanie określić, ile razy mnie uderzono, popychano. (...) Wepchnięto mnie do takiego dużego pomieszczenia, do sali na parterze (...) tam już było około kilkudziesięciu osób, klęczali w tej sali. Między nimi przechadzało się dwóch panów po cywilnemu z pałkami długimi w dłoni. (...) Od czasu do czasu zadawane było pytanie (...) No i co robiliście wczoraj? I pamiętam jak po takim pytaniu następowały ciosy w głowę, w plecy. Koło mnie klęczał taki starszy mężczyzna w wieku mojego ojca, gdzieś po 60-tce, siwy. Ten człowiek zadał mi pytanie i nie czekając na odpowiedź uderzył go w tył głowy pałką. Mężczyźnie temu wyrwał się taki szloch, nie zapłakał, nie krzyknął, popłynęły mu łzy.

Ksiądz kanonik Henryk Jankowski, proboszcz parafii św. Brygidy w Gdańsku:

Ja w grudniu czułem swoją ogromną bezsilność — gdy widziałem tyle nienawiści, gdy patrzyłem na czołgi i na to co się działo na ulicach i pod stocznia. (...) Towarzyszyły mi też wszędzie ostre spojrzenia żołnierzy i oficerów, ludzi w polskich mundurach, którzy nie w ogóle nie mówili, więc było dla mnie zagadką, kto to jest, czy to są w ogóle Polacy.



Tekst opracowano na podstawie materiałów Lidii Ostalowskiej, Ewy Polak, Ewy Kacprzyckiej i Archiwum „S” zamieszczonych w numerze 50 tygodnika ITD z 13 grudnia 1981 r. Nakład pisma został wstrzymany od kolportażu po wprowadzeniu stanu wojennego. W trzy dni później Grudzień '70 powtórzył się w Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek”.

Opr. KRZYSZTOF MICHALSKI

SPORT



fot. A. Korpusiński

Kogóż bardziej od trenera Adama Filemonowicza mogli nie lubić w Toruńskim „znawcy” sportu? W ciągu swojej piętnastoletniej kariery trenerskiej na ręce kolejnych prezesów klubu, rezygnację składał kilka razy. Kolejną swoją decyzję, po długiej rozmowie z Lechem Dulnym (obecnie prezesem KS „Pomorzanin”), odłożył do marca 1990. Wówczas to poprowadzi drużynę po raz ostatni: we Francji w finale Pucharu Europy w hokeju na hali. Dlaczego po raz ostatni?

Adam Filemonowicz jest sumienny, obowiązkowy i uparty w dążeniu do celu. Takim znają go wszyscy jego wychowankowie.

Decydenci miejscy i wojewódzcy mówią: „dobry fachowiec, ma wyniki, tylko czemu taki konfliktowy. W środowisku sportowym ma opinię człowieka, który niewiele się zastanawiając „wali prawdę prosto z mostu”. Mogłoby przecież wypinać pierś do odznaczeń, prezentować na lewo i prawo swoje zasługi. Ale dla niego najważniejsze jest uwypuklenie ciemnych stron sukcesu i walka o stworzenie podopiecznym, którzy nauki pobierają u niego prawie od dziecka, warunków, by w uprawianym przez siebie rzemiośle byli artystami.

Oj, nie lubiła go ta władza. Inni byliby wniebowzięci, gdyby poświęciła im swój czas na spotkanie w tym czy innym Urzędzie. On natomiast chciał, aby za słowami postępowały czyny. I tu zaczynały się nieporozumienia.

Z Bogiem

Pierwszy raz Filemonowicz złożył rezygnację dwanaście lat temu — po spotkaniu z władzami społeczno-politycznymi Torunia. Zaproszono go wówczas wraz z zespołem. Siedział spokojnie i słuchał, że władza by chciała, ale nie może nic zrobić w żadnej z poruszonych spraw. Po 45 minutach wysłuchiwanie o tej niemocy zadał sobie pytanie, co on tu robi. Wstał z krzesła, spojrzął na zawodników i wyszedł ze słowami: „z Bogiem chłopcy”. Następnego dnia Filemonowicz miał do wyboru: władzę przeprosić lub pożegnać się z zespołem. I chociaż było mu ciężko, wybrał to drugie. Do dzisiaj pozostało z tamtego spotkania to najbardziej popularne

pożegnanie w sekcji hokeja na trawie — „z Bogiem”.

Wrócił do hokeja, który jest jego całym życiem, dopiero po dwóch latach. Nic go jednak nie nauczyły wcześniejsze doświadczenia. Pracował dużo i nowocześnie. Wyniki tej pracy musiały być i były. Zespół stawał się potentatem w polskiej „lasce”. On zaś awansował i rozpoczął pracę drugiego trenera reprezentacji narodowej, w której aż roilo się od jego wychowanków. Był cenionym szkoleniowcem, prowadził zajęcia z trenerami. Władza natomiast, ta klubowa, gdy wymagał zapewnienia podstawowych warunków dla swych zawodników, mówiła żeby był grzeczny, bo właściwie to nie ma papierów i ona może go zwolnić.

Filemonowicza na pewno stać

stowy. Trzy godziny po treningu rozgorczyeni wychowankowie podziurawili nowe opony „Pirelli” w maluchu dyrektora jak ser szwajcarski. Wulkanizator naliczył w czterech kołach 34 dziury.

W finałach drużyna grała jak w transie. Efektem był zdobyty złoty medal. Finałowy mecz oglądał dyrektor Waczyński. Po meczu pogratulował zespołowi oraz temu, który go przygotował. Dodał, że mieli rację ci, którzy podziurawili mu opony w odwecie za pochopną decyzję zwolnienia trenera. Był to jeden z niewielu działaczy potrafiących się przyznać do błędu, z którymi zetknął się w swojej pracy Filemonowicz. Tak mógł się zachować człowiek, który także poświęcił sportowi większość swojego życia. Szczepan Waczyń-

nigdy nie przegapiła okazji, by wokół trenera robić złą atmosferę. Za co? Za to że burzył święty spokój. Jedynym, co w karierze trenerskiej Adama Filemonowicza cyklicznie się powtarza, to konflikty z urzędnikami, którzy do sportu trafili w różny dziwny sposób.

W takiej atmosferze sukcesy mogli osiągać jedynie ludzie nietuzinkowi, ludzie z charakterem, dążący do celu nie bacząc na to czy po drodze się komuś narażą.

Wielka stawka

Sobota 30 września br. sędzia odgwiżdża koniec pierwszej połowy meczu o mistrzostwo I ligi hokeja na trawie. Prowadził z zespołem „Siemianowiczanki”

ULUBIENIEC DZIAŁACZY

WOJCIECH KACZMAREK

było na zrobienie dyplomu trenera. Jednakże im bardziej mu to wytykano, tym bardziej chciał udowodnić, iż ludzi powinno się rozliczać za wyniki a nie za „papier”. Wielokrotne złote, srebrne i brązowe medale zdobywane na Mistrzostwach Polski w różnych kategoriach wiekowych (razem było tego ze dwadzieścia) były dla niego najlepszym dyplomem. Był trudnym partnerem dla sportowych urzędników. Uposażenia nie pobierał, więc kar finansowych za brak subordynacji się nie bał. Drużyny zabrać mu nie było można, no bo jak. Prawdą jest, że raz spróbowano.

34 dziury

Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych „Pomorzanin” przeszedł spod kurteli biednych kolejarzy we władanie będących na fali włókniarzy. Były to lata hossy toruńskiego „Merinoteksu”. Adam Filemonowicz przygotował drużynę juniorów młodszych do finału Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży. Do pełni szczęścia brakowało przyzwoitego ubioru dla zawodników. Na jego prośbę zakupiono koszulki. Urzędnik dokonujący zakupu nawet nie raczył się zorientować jakie rozmiary są potrzebne. Zawodnicy mierzący po 160 cm otrzymali koszulki na 180 cm. Zirykowany tym faktem Filemonowicz udał się do dyrektora klubu ze stwierdzeniem, że na imprezie ogólnopolskiej chłopców za cłownów nie będzie przebierał. Urażony dyrektor Waczyński wyrzucił go z biura i zwolnił z funkcji trenera. Na treningu poprzedzającym wyjazd na zawody finałowe Adam oznajmił zawodnikom, że na spartakiadę pojedzie w roli turysty. Skutek był natychm-

ski, jeden z „Twardych Pierników”.

Kilka lat temu Adam, chcąc ułatwić urzędnikom życie oraz zaoszczędzić sobie kolejnego wysłuchiwanie argumentacji o braku podstaw do ustalenia godzinowego zarobku, zrezygnował z poborów. Wiadomo, że z miłości do hokeja długo człowiek nie pożyje. Założył więc prywatny zakład. Szło bardzo ciężko, ale wyżyć było można. Urzędnicy natomiast nie robili nic, aby zadbać przynajmniej o zawodników. Zaczęły napływać do klubu prośby o zwolnienia. Ponieważ w pierwszej lidze hokeja na trawie nie ma sportowych stypendiów, Adamowi nie pozostało nic innego jak rozkręcić swój interes, by móc zatrudnić niektórych hokeistów, dając im możliwość utrzymania siebie i rodziny.

Adam potrafi zrozumieć wiele, ale nie może zrozumieć dlaczego obecny prezes klubu (którego bardzo ceni) toleruje na stanowisku kierownika kobietę, która o wymaganiach dzisiejszego sportu wyczynowego ma, delikatnie mówiąc, mgliste pojęcie. Kierownikiem powinna być osoba, która jest w stanie zapewnić trenerom warunki do pracy, albowiem oni zajmując się problemami zawodników mają pracy niekiedy na 24 godziny na dobę. Funkcji takich na pewno nie będzie spełniać osoba, która do klubu przychodzi jak do urzędu i czeka, by każdą sprawę trenera potraktować tak jak się w większości urzędów traktuje pentów. Cóż pochlebnego można powiedzieć o pani kierownicze, która nie potrafiła przez dwa lata zapewnić drużynie Mistrza Polski ciepłej wody do kąpiei po wyczerpujących treningach. O nagminnym braku napojów chłodzących nie wypada tu nawet wspominać. W zamian za to

2:0. Filemonowicz wstał z ławki, ruszył przez boisko do szatni zawodników. Minę miał bardziej poważną niż zwykle. Spojrzął po zawodnikach i zaczął: „Pany, zagramy w Finale Pucharu Europy”. Spojrzeli po sobie, na trenera i nie za bardzo wiedzieli o co chodzi. „Tak, w marcu 1990 roku po raz pierwszy rozegrany zostanie we Francji Finał Pucharu Europy w hokeju na hali. Polski Związek Hokeja na Trawie do rozgrywek zgłosił nasz zespół. Proponuję pod rozwagę i do wyboru następujący cykl przygotowań:

1. trenujemy tak jak w ubiegłych latach i gramy o miejsca pod koniec pierwszej dziesiątki,
2. trenujemy bardzo ostro i ciężko gramy o miejsca 4—5,
3. trenujemy to co będę chciał i kiedy będę chciał bez żadnych warunków z waszej strony i gramy o medal. Wybór należy do Was. Do jutra macie czas na zastanowienie”.

W niedzielę wchodząc do szatni przed meczem z Górnikiem Siemianowice nie miał wątpliwości, który z wariantów przygotowań wybiorą. Wiedział, że dadzą z siebie wszystko, by do grona najlepszych w Europie. Zapytał, by formalności stało się zadość. Usłyszał kolejno wypowiedziane: „wariant 3, wariant 3...”.

Dzisiaj Adam Filemonowicz wie jak trudne zadanie postawił sobie i zespołowi. W grupie, z której awansuje do puli finałowej jeden zespół, znaleźli się mistrzowie Włoch, Irlandii i główny faworyt — mistrz RFN. W jego charakterze mało było miejsca na załamania. Z własnych dochodów przeznaczył nie małą kwotę, resztę wyprosił z klubu, zebrał zawodników i pojechał by, w ciszy i spokoju nad opustoszałym polskim morzem szlifować formę.

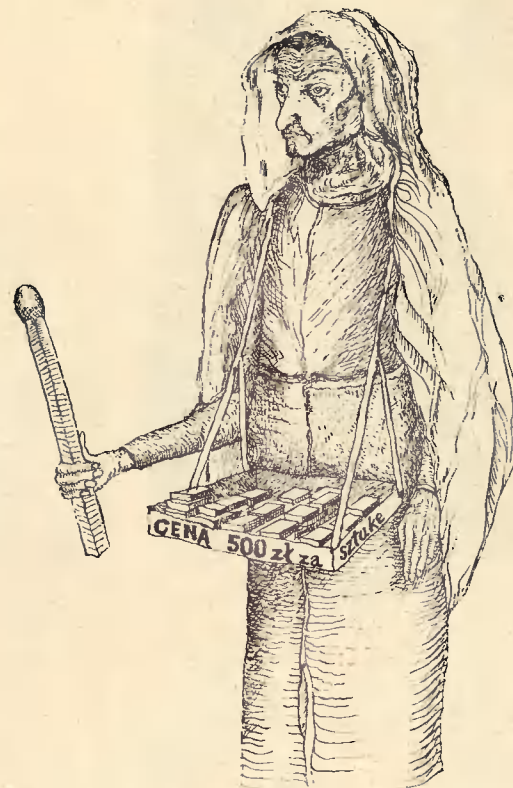
DZIEWCZYŃKA Z ZAPALKAMI

JAN RWAŃSKI

Niedziela. Godzina dziesiąta. W toruńskich kościołach wierni modlą się o błogostawieństwo i spokój społeczny. Szukają ukojenia swoich trosk w kontemplacji. W kierunku targowiska przy ulicy Nowickiego podąża zwarty tłum. Są w różnym wieku. Przy bramie opłata za wstęp. Wiadomo — urynkowanie! Dochód zapewne przeznaczony jest na fundusz PCK. Plac targowy. Tak sobie wyobrażałem w dzieciństwie plac Szembeka w Warszawie — najsłynniejszy rynek wschodniej Europy. Czego tu nie ma? Papier ścierny przypominający toaletowy, papier toaletowy przypominający ścierny. Dalej dostrzegłem: muszle łazienkowe (same splukują — zachwała kupiec), umywalki z plastiku (chyba same myją), radiomagnetofon „Uniwersal” (prosto z Getyngi), podkoszulki (łódzkie), kwiaty doniczkowe (z Wrzosów), spódniczki i dużo kurtek damskich i męskich (miejskowe), swetry w stylu zakopiańskim (z Aleksandrowa) radio „Tesla” (rocznik 1959 — CSRS), baterie: do wody, do latarek, do zegarków, do aparatów fotograficznych, bateria piwa. W kolejnym szeregu — złote

obraczki i pierścionki (radzieckie), gramofon „Artur” z głośnikami (prosto z ulicy Chełmińskiej), aparat „Zenith”, dużo kaset i płyt, kilka magnetowidów, „kupię marki zachodniemieckie”, dużo galanterii... Bukiniści obok kolorowych reklamówek (w RFN za darmo każdą ilość) oferują „Ludzi Stalina”, „Kamasutrę”, mapę samochodową Australii i stare monety (brak złotówki). Dalej — zatycki przeciw hałasowi do uszu (rok produkcji 1981 — przeterminowane), słuchawki duże i małe, samowar prosto z tegorocznego festiwalu piosenki (jeszcze śpiewa — zapewnia młody sprzedawca), nakrycia stołowe z Mińska via Białystok (same jedzą?). Jest guma do majtek i kilka lewych skarpet męskich. Czekolady węgierskie, niemieckie i holenderskie, z orzechami i bez. Są papierosy „Carmen” i „Caro” (w sumie kilka paczek). Pieniądze... pieniądze... pieniądze...

Z boku, jakby na marginesie wielkiego handlu, stoi samotna skromnie ubrana starsza kobieta. Trzyma w rękach trzy małe pudełka zapalek prosto z Sianowa. — Może kto kupi?



Rys. Jan K. Wiślicki

FILM

SZKLANA PUŁAPKA

„Szklana pułapka” to typowy produkt amerykańskiego kina komercyjnego. Z mocnym człowiekiem w roli głównej, którego zadaniem jest jak zwykle zniszczenie zła toczącego współczesny świat. Fabuła jest prosta: policjant John McLane przyjeżdża z Nowego Jorku do Los Angeles, by wziąć udział w wieczorze wigilijnym wraz z dziećmi i żoną, z którą żyje w separacji. Wieloosobowe party (i to ma być wigilia?), odbywające się w siedzibie japońskiego koncernu, zakłócone zostaje przez doskonałe zorganizowany napad byłych terrorystów. A reszty można się domyśleć. McLane w pojedynkę, powoli wykańcza przeciwników zaopatrzonych w najnowszy sprzęt wojskowy (czyżby reklama?). I w zasadzie nie byłoby o czym pisać, gdyby nie kilka elementów.

Otóż, co rzadko zdarza się w tego typu produkcjach, nasz bohater ma przeciwko sobie nie tylko siłę, ale i inteligencję. A więc nie chodzi już tylko o to, by wystrzelić więcej pocisków na minutę, lecz by trafić tym jednym. Kto tego nie zrozumie — szybko zginie. Zarówno czarny, jak i biały charakter wiedzą, że w każdej sytuacji intelekt musi wziąć górę nad emocjami, toteż bezmyślna walka czasem zamienia się w grę.

Dość interesująca jest scene-

ria. Betonowo-szklany wieżowiec to rzeczywiście pułapka, stanowi on swoisty mikroświat, w którym osaczony policjant może jedynie liczyć na pomoc, bo nigdy jej nie uzyska; błędząc po pustych korytarzach będzie zdany wyłącznie na siebie.

Jest w filmie trochę Ameryki, właściwie satyrę na nią. Komentator telewizyjny umieszczający Helsinki w Szwecji, wysoki oficer FBI, dla którego liczy się zniszczenie „terrorystów”, a nie uratowanie zakładników, tępy szef policji itp. (swoją drogą na co może sobie pozwolić reżyser w USA).

Świadomie użyłem cudzysłowu w ostatnim zdaniu. Przeciwnicy McLane’a rzeczywiście byli kiedyś członkami lewackiego ugrupowania „Volksfrei”, obecnie jednak ich jedynym ideałem jest 600 mln USD w sejfie koncernu.

Ogólnie jednak zbyt dużo krwi, pirotechnicznych efektów i choć na pewno „Szklana pułapka” jest dużo lepsza niż „Rambo”, to niestety oglądanie takich filmów w większych ilościach może odbić się na równowadze psychicznej.

MAREK KĘSKRAWIEC

„Die Hard” (USA, 1988). Reż. John McTiernan, w rolach gł. Bruce Willis, Alan Ricman, Bonnie Bedelia.

A MOŻE INACZEJ...

Już tak niewiele dni dzieli nas od najpiękniejszych świąt jakie obchodzimy w Polsce — świąt Bożego Narodzenia. Jak co roku poprzedza je ożywienie w sklepach, na ulicy. Jak co roku zapanowała gorączkowa atmosfera gromadzenia wszelkich dóbr, a to w postaci prezentów, którymi obdarujemy najbliższych, a to w postaci przeróżnych wiktuałów, z których mamy, babcie, a bywa i ojcowie (a znam takich!) w długie wieczory spędzane w kuchni wyczarowywać będą bajeczny świat tradycyjnych potraw.

Zadyszani, zagonieni przystąpimy w tych przygotowaniach, weźmy oddech i spróbujmy nieco inaczej. Spróbujmy pomyśleć o drugim człowieku. To trudne, bo przyzwyczajeni do schematu przedświątecznej krzątania wiemy co, kiedy, gdzie, jak — a tu zatrzymać się — zmienić cały ten uporządkowany przedświąteczny rytm.

A przecież należałoby. Bo święta Bożego Narodzenia są nie tylko w kalendarzu domów, w których ciepła, rodzinna atmosfera, pachnie choinką, dymią potrawy na śnieżnobiałym obrusie, gdzie opłatek, szczerze życzenia, kołędy. Te święta są również w kalendarzu ludzi samotnych, starych, chorych, zapomnianych przez tych, którym poświęcili swoje całe trudne życie. Są w kalendarzu dzieci opuszczonych, dzieci, których domy trudno nazwać rodzinnymi. I są też w kalendarzu rodzin, które ubogie w ten świąteczny czas szczególnie rozpaczliwie będą odczuwały swoje ubóstwo.

Dlatego zatrzymajmy się, rozejrzyjmy wokół — oni są wśród nas, może tuż obok, za ścianą. Pomyślimy, czym możemy ich obdarować, czym sprawić radość. Może to będzie jakaś ciepła rzecz, może nasze dziecko podaruje ze swoich zbiorów zabawkę, książkę (nauczmy nasze dzieci tej wrażliwości), a może podzielimy się świątecznymi smakołykami. Przygotujmy to wszystko jak podarunki dla najbliższych i podajmy ze szczerymi życzeniami. A może ten ktoś zasiądzie z nami do wigilijnej wieczerzy, wszak zapraszanie na tę wieczerzę ludzi samotnych należy do najpiękniejszych staropolskich zwyczajów.

Myślisz, to trudne, zrobić ten pierwszy krok. Jakoś nieporadnie, niezręcznie zapukać do drzwi, które dotąd były nam niepojętne. Jakoś trudno wyciągnąć rękę, uśmiechnąć się, zaprosić kogoś, kogo nie dostrzegaliśmy dotąd. Tak to trudne, ale ktoś powiedział, że mamy czynić rzeczy tylko łatwe?

Dlatego zrobmy to teraz. Tak należy, tak trzeba. Zanieśmy innym trochę nadziei, trochę radości. Niech to będzie nasza polska kołęda, kołęda serc.

MALGORZATA

BOŻE NARODZENIE W ZAGORSKU



Lavra Troicko-Siergiejewska w Zagorsku, prawosławna Częstochowa

Kiedy w mroźny, słoneczny, sobotni poranek 7 stycznia br wsiałem do kolejki elektrycznej nie czułem w ogóle, że to pierwszy dzień prawosławnych Świąt Bożego Narodzenia.

Jechałem do Zagorska, rosyjskiej prawosławnej Częstochowy. Brudny pociąg z drewnianymi ławkami (podobnym jeździł Wieniczka Jeriofięw do Pietuszek) zatrzymywał się na każdym przystanku. Tutaj także nie było świątecznej atmosfery.

Po półtoragodzinnej jeździe — Zagorsk. Pytam się o klasztor, ludzie chętnie objaśniają i wskazują drogę. Idę pieszo po udeptanej grubej warstwie śniegu. Zza zakrętu wylania się duży zespół klasztorny położony na niewysokim wzgórzu. Wysokie białe ściany i potężne baszty pokryte zielonymi chełmami otaczają Zagorską Lawrę. Zza murów wylania się widok zapierający dech w piersiach. Dziesiątki wieżyczek i kopuł o zróżnicowanych kształtach. Wszystkie te mniej czy bardziej wymyślne wzory zwieńczone są olbrzymimi miedzianymi, złotem krytymi krzyżami, których delikatny ażur przypomina misterne plecionki złotnicze. Liczba i układ dzwonnicy mają głęboko religijne znaczenie, gdyż odzwierciedlają stopnie kościelnej hierarchii. Błyszczące złoczone lub srebrzone łańcuchy łączą krzyże niższych kopuł z krzyżem kopuły głównej. Część kopuł pokrytych błękitną emalią usiana jest złotymi gwiazdami. To wszystko błyszczy i mieni się w zimowym słońcu na tle roziskrzonego śniegu.

Wchodzę do Lawry przez bramę z usytuowaną na niej niewielką pięciokopułastą cerkiewką. Nazwę Lawra nadawano w trybie wyjątkowym tylko bardzo wielkim zespołom klasztornym, które podlegały wtedy już nie biskupom swoich diecezji, lecz najwyższym władzom cerkiewnym. W całej Rosji przedrewolucyjnej były tylko cztery Lawry: Peczerska w Kijowie, Troicko-Sier-

giejewska w dzisiejszym Zagorsku, Aleksandra Newskiego w Petersburgu i Począjowska na Wołyniu.

Na terenie Lawry zaskoczenie, nie ma tłumów, których się spodziewałem. Teren klasztoru jest stosunkowo duży, długość potężnych murów obronnych wynosi około 1,5 km. wysokość od 15 do 17 metrów. Na tym terenie giną poszczególne grupy ludzi, są ich dziesiątki może setki, nie tysiące. W cerkwi św. Sergieja połączonej z salą refektarza za chwilę zacznie się nabożeństwo. Jest to najwyższa sala wybudowana w końcu XVII w. bez użycia podtrzymujących kolumn.

Płoną setki cieniutkich świeczek, migocą złotem liczne ikony. Stoje pod ścianą. Za chwilę zostanę przeproszony przez starszkę, za plecami mam ikonę. Kobiety całują szkło pokrywające święty obraz. Przy mnie zamaszycie żegna się brodaty mężczyzna w siłę wieku, dotyka głową posadzki. Rozlegają się piękne śpiewy. Błyszczą złotem carskie wrota. Ludzie przybliżają się do ikonostasu, modlą się i śpiewają.

Mój brodaty sąsiad rozpoznał we mnie cudzoziemca. Pyta skąd. Oddech sympatii na odpowiedź, że z Polski. Wie o „Solidarności” i silnym polskim kościele. U nas zabrano ludziom wiarę i nadzieję. Żyją jak zwierzęta. Jego twarz zasępiła się. Moja córka ma dwadzieścia lat. Jest narkomanką. Mówię jej rzuć to, bo umrzesz, jesteś taka młoda. A ona: Na co mi takie życie, ja już się nazyłam dość.

Nabożeństwo trwa już ponad dwie godziny, żegnam się i wychodzę. Przy kapliczce z cudownym źródłem wypływającym z ramion krzyża widzę młodego mnicha. Zaczynam rozmowę pytaniem o muzeum. Dowiaduję się, że wstąpił do klasztoru dwa lata temu. Przedtem był nauczycielem fizyki. Odzyskał w tych murach wiarę, nadzieję i spokój.

Zwiedzam muzeum. Przewodnik podkreśla, że mury Lawry w Zagorsku wytrzymały szesnastomiesięczne oblężenie przez polskie wojska. Prawda, było to w 1608 roku w czasie panowania Dymitra Samozwańca II, a zbieraniną różnych wojsk będących na służbie Dymitra dowodził Roman Różyński. Wiele wysiłku włożono w opanowanie słynnej Lawry Troicko-Siergiejewskiej, w której znajdowały się bezcenne kosztowności. obrońcy klasztoru nie poddali się jednak, wytrzymując w ciężkich warunkach półtoraroczne oblężenie, przerwane dopiero na początku 1610 roku. Polacy raz jeszcze, w roku 1617, nie oparli się pokusie zdobycia Troice-Siergiejewa. Oblężenie także okazało się daremne.

Rosjanie lepiej znają swoją historię dawną niż współczesną. Często spotykamy się w rozmowie z różnymi polsko-rosyjskimi reszntymentami. Wydaje mi się, że zetknął się z nimi i premier Tadeusz Mazowiecki, odwiedzający Moskwę i Zagorsk w listopadzie br.

JANUSZ PODOLSKI

SWOJĄ DROGĄ

SMACZNEGO!

Pewien mieszkaniec czarnego lądu gościł — a było to jeszcze za Gierka — w naszym kraju. Akurat zbliżyły się święta Bożego Narodzenia, nic więc dziwnego, że jego uwagę zwróciła wartka krzątająca na ulicach i w sklepach. Wyjaśnienie, że trafił na okres przedświąteczny przyjął ze zrozumieniem. Po kilku dniach, powiedział: te wasze święta zupełnie przypominają nasze, przez dwa dni nic się nie robi, tylko je do granic możliwości.

Tak to u nas bywa. Kryzys z roku na rok coraz bardziej dramatyczny, lecz dotąd jakoś z trudem można go było dostrzec na polskich świątecznych stołach. Czy tak będzie również w tym roku? Ja tego sprawdzić nie mogę. Pierwszy raz w życiu przyszło mi spędzić święta z dala od kraju i bliskich. Być może, opiszę Wam hinduskie Boże Narodzenie. Na razie opowiem o hinduskich stołach.

Sztuka przyrządzania i spożywania posiłków stanowi podstawowy element kultury. Interesuje mnie to bardziej, niż samo pożywienie; do łasuchów i smakoszy się nie zaliczam. Mało tego: jestem w sprawach kulinarnych niezwykle nieufny. O hinduskiej kuchni mogę powiedzieć niewiele: jest ostro ponad wszelkie granice przywoitości, stąd dla gęby niewyparzonej stanowi jedną wielką monotonię smakową na wysokim poziomie agresywności. Całkiem jak oślepiające światło — może i różnobarwne, lecz któż tam wie, skoro się spojrzeć nie da. Moi współrodacy zadają imponujące ilości tutejszych specjalów; z pewnością ich doświadczenia smakowe są rozleglejsze. Według mnie jednak. Hindusom brak gustu kulinarnego, czego np. zupełnie nie da się powiedzieć o kuchni chińskiej. Jadałem w kilku chińskich restauracjach i muszę przyznać, że ich potrawy mi zaimponowały. Po tym na co się odważyłem, mogę powiedzieć, że jest to kuchnia niezwykle subtelna, kładąca nacisk na finezję skojarzeń zapachowo-smakowych. Tu każda potrawa jest inna, niepowtarzalna i choć często absolutnie nie do zjedzenia, to przecież ma właściwy sobie i tylko sobie urok. Hinduskiej kuchni tego brak.

Dla mnie — profana sztuki kulinarnej — znacznie bardziej frapujące od pieszczących podniebienie smakotyków hinduskich są pieszczące umysł obyczaje: technologia sporządzania posiłków i technika ich spożywania. Niestety z pozycji naszych wzorców kulturowych, niewiele da się tu powiedzieć dobrego.

Przyrządzanie posiłków odbywa się w warunkach urągających podstawowym warunkom higieny. Ich zaś spożywanie też niewiele ma wspólnego z dobrym smakiem (w naszym oczywiście rozumieniu). W pewnej, bardzo schludnej zresztą restauracyjce (można było tam zjeść nawet kurczaka!), szukając ubikacji przypadkiem natknąłem się na kuchnię. Doświadczenie to do końca odebrało mi apetyt, choć byłem diabło głodny.

Podstawowym sztucem Hindusa jest prawa ręka. Trzymanie, choćby ledwie dotykając pożywienia ręką lewą budzi powszechne zgorzienie. Nic dziwnego, skoro używa się jej do zgoła odmiennych czynności) papier toaletowy dotarł tu wprawdzie wraz z cywilizacją białego człowieka, lecz nie robił zawrotnej kariery.

Typowa hinduska jadalnia (odpowiednik naszego baru „Małgosia”) w Madrasie. Panuje tu półmrok i zgiełk pomieszany z europejską muzyką dyskotekową. Tłoczno. Stołiki ustawione rzędami jak uczniowskie ławki. Bystre oko kelnera natychmiast wyławia białych. Oni tutaj — to widok niecodzienny. Szybko znajdują się wolne miejsca. Gorzej ze sztucami. Dopiero po dziesięciu minutach skonsternowany kelner przynosi kilka łyżek do herbaty. Natomiast rutynowa obsługa jest błyskawiczna. Po sali chodzi nieustannie armia wąsko specjalizowanych kelnerów. Pierwszy przynosi duże liście banana, które „robią tu” za talerze. Drugi — blaszane kubki i takiz dban z wodą. Idąc za przykładem towarzyszy, którzy nie bez

kozery robią miny bywalców, polewam „talerz” wodą i zmywam go, używając dłoni (oczywiście prawej!) jako ściereki. Resztki wody strzepuję na podłogę. Przychodzi następny kelner z dużym garnkiem ryżu. Drewnianą chochlą nasypuje olbrzymie jego ilości na „talerz”. I kolejny kelner z tacą pełną rozmaitych sosów na tyle gęstych, że podane, tworzą wokół ryżowej góry barwną mozaikę pagórków. Spoglądam dyskretnie wokół. Hindus przy sąsiednim stoliku właśnie przygotowuje potrawę do jedzenia: miesza wszystko ręką a dynamika jego ruchów sprawia, że po zakończeniu operacji jest ona umazana ryżową papką aż po łokieć. Teraz je: lepi z papki małe kuleczki i niezwykle zręcznie wrzuca, nie wkładając, je sobie do ust. Po tym doświadczeniu wolę wyłącznie patrzeć już na własny talerz... Próbuję jednego z sosów — na więcej brakuje mi odwagi, lecz proszę to przypisać mojej słabości: koledzy, śmiejąc się ze mnie pałaszują wszystko.

Tym budującym akcentem zachęcam Was: popróbujcie hinduskiej kuchni, jeśli tylko nadarzy się Wam okazja. A póki co — życząc smacznego przy świątecznym stole.

TADEUSZ SOLECKI

P.S. Gwoli uczciwości muszę dodać: bardzo mi tu smakuje kurczak w sosie curry. Lecz to, co u nas sprzedają, niewiele ma wspólnego z tą przyprawą.

T.S.

GLUPOTA

Erich Honecker podpisał w listopadzie 1989 roku rozkaz strzelania do demonstrantów w Lipsku.

Wojsko odmówiło wykonania tego rozkazu.

W Niemieckiej Republice Demokratycznej „najkarniejszy” naród świata nie wypełnia rozkazów!

A w niektórych zakładach pracy w PRL-u jeszcze słyszy się jak tu i tam majstrowie, brygadziści, inżynierowie, powodowani chyba jedynie głupotą, przy posłusznym wypełnianiu najdziwniejszych poleceń, powołują się na lojalność wobec Zarządców.

HANNA KARCZEWSKA

PIĄTEK — 22 GRUDNIA

Program I

- 8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 Kino Teleferii: „Gepard powraca — film ZSRR
10.30 „Wesołych świąt” film, TP, reż. J. Szwierc, wyk. K. Majchrzak, J. Kłosiński
11.25 Domator
13.30 TTR. Matematyka (I)
14.00 TTR. Spotkania z literaturą (I)
15.30 NURT. Edukacja pozaszkolna
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Rambit
16.50 Okienko Pankracego
17.30 Raport
17.55 Lecznica dusz — film dok. W. Głowacza
18.25 Rzeczpospolita samorządna
19.45 Weekend w Jedyńce
19.00 Dobranoc: Węgierskie bajeczki
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
20.05 „Dekalog, trzy” — film pol., reż. K. Kiesłowski, wyk. D. Olbrychski, M. Paikulnis
21.05 Kontrapunkt
21.35 Sport: Hokej
22.25 Spór o jutro — Otwarte studio
23.25 DT — echa dnia
23.40 Jutro w programie
23.45 Spór o jutro — Otwarte studio (c.d.)

Program II

- 17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów M. Niedzwieckiego
18.30 Świąteczna antena Dwójki
18.50 Program muzyczny
19.30 Dookoła świata
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny
21.00 Ekspres reporterów
21.45 Kino antypodów: „Irlandczyk”, reż. D. Crombie, wyk. M. Craig, S. Burke i inni
23.30 Komentarz dnia

SOBOTA — 23 GRUDNIA

Program I

- 8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.55 Program dnia
9.00 „Drops” oraz film „Jelonok” (7)
10.30 DT — Wiadomości
10.40 Żołnierskie wigilie — film dok.
11.25 Z Polski rodem
11.55 Oratorium wigilijne — film dok.
12.25 Telewizyjny Teatr Prozy: H. Rzewuski — „Pamiątki Soplisy”
14.30 Filmy o miłości: „Tredowata”
16.00 Boże Narodzenie z polskimi „Słowikami”
16.25 Do trzech razy sztuka
16.55 Antena
17.15 Teleexpress
17.30 Wspomnienie o Kukuczce — film dok.

PROGRAM TV

od 22 do 26 grudnia

Programy, które redakcja „Wolnego Słowa” poleca szczególnej uwadze Czytelników, wyróżnione są tłustym drukiem.

- 18.05 Butik
18.35 Kolędy śpiewa R. Karłowiczowski
19.00 Dobranoc: Kubuś Puchatek
19.30 Wiadomości
20.05 „Riffi po 60.” — film pol., reż. P. Trzaska, wyk. M. Czechowicz, W. Michnikowski, W. Golas
21.25 Sport
21.45 Kolędy patriotyczne
22.30 Ulica wielkiej kolędy
22.50 Plotka, miłość, zemsta — śpiewa K. Kowalski
23.20 Telegazeta
23.05—0.15 „Dwójka karo” (I) — film USA

Program II

- 13.30 Czas akademicki — katolicki nurt stowarzyszeń akademickich
14.00 W święcie ciszy
14.25 5-10-15 — program dla młodzieży
15.55 „Pastorałki” — film J. Łomnickiego
16.25 Telewizyjny koncert życzeń
16.55 Powitanie: Kraków na antenie Dwójki
17.00 Wielka gra
18.00 Errata
18.30 Kraków na antenie Dwójki
21.05 Muzyka i polityka: Kolegda
21.30 Panorama Dnia
21.45 „Odnalezione marzenia” — film ang.
23.25 Kolędy H. Banaszak
23.35 Komentarz dnia
23.40 Kraków na dobranoc

NIEDZIELA — 24 GRUDNIA

Program I

- 8.25 Program dnia
8.30 Idziemy z Wiliją
9.00 Świąteczna niespodzianka — filmy Disney’a
9.20 „Ania z Zielonego Wzgórza” — film kanad.
10.30 DT — Wiadomości
10.35 „Złoto”: „Śladami Jacka Londona” — film dok.
11.15 Powitanie z Poznania
11.25 Pozdrowienia ze świata — relacje korespondentów TP
11.40 Świat wielkiego sportu
12.20 Prezenty pod choinkę
12.25 Wigilie u przyjaciół — widowisko poetyckie
12.45 „Narodziny” — widowisko poetyckie
13.00 Wielkopolski stół wigilijny
14.15 Leśna ballada — widowisko poetyckie dla dzieci i młodzieży

- 14.35 „Janka” (14) — serial
15.05 „Panna dziedziczka (32) — serial braz.
17.15 Teleexpress
17.30 Małenka miłość — kolędy śpiewa Eleni
17.50 Prezenty pod choinkę
17.55 Oplatki polskie — widowisko poetyckie z Teatru Nowego w Poznaniu
18.20 Kolędować Małemu — kolędy i pastorałki śpiewają: H. Frackowiak, K. Prońko, I. Jarocka i inni
19.00 Dobranoc: Kubuś Puchatek
19.30 Wiadomości
20.00 Homilia Prymasa Polski kard. J. Glempa
20.25 „Trzej mężczyźni i dziecko” — film franc.
22.05 Spieszmy się kochać ludzi — program poetycko-muzyczny
23.05 W sercach otucha — W. Korcz zaprasza
23.35 Concerto grosso na Boże Narodzenie gra Ork. Kameralna PRiTV pod dyr. A. Duczmal
23.55 Pasterka z Watykanu

Program II

- 10.00 Program tygodnia (dla niesłyszących)
10.35 Film dla niesłyszących: „Trzej mężczyźni i dziecko” — film franc.
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Kino rodzinne: „Autostrada do nieba” — film USA
13.20 Royal Albert Hall — koncert Fundacji na Rzecz Dzieci
14.20 Sto pytań do...
15.00 Ulice polskie
15.30 Benefis I. Santor
16.20 Podróże w czasie i przestrzeni: „Wędrowki ludów nad Pacyfikiem” (8)
17.30 Bliżej świata
19.00 „W labiryncie” — świąteczne spotkanie z twórcami serialu
19.30 Kolędy Lutosławskiego śpiewa J. Rappe
20.00 Żyłam sztuką — słynne Toski o sobie i swym wzorze — film RFN
21.30 Panorama Dnia
21.45 Adam — impresja o twórczości A. Myjaka
22.05 „Wojna i pamięć” (17) — serial USA
23.05 Komentarz dnia
23.10—23.40 Nasz jest dzień — program poetycko-muzyczny

PONIEDZIAŁEK — 25 GRUDNIA

Program I

- 8.55 Program dnia
9.00 Świąteczna niespodzianka

- ka — animowane filmy Disney’a
9.20 „Ania z Zielonego Wzgórza” (2) — film kanad.
10.30 „Wędrujący lodowiec” — film dok.
11.00 Telewizyjny koncert życzeń
12.00 Akademia filmowa: „Ninoczka” — komedia USA
13.45 Biały zeszyt — gwiazdkowo śpiewa J. Bo
14.10 Telewizyjny Teatr dla Dzieci: „Ten najpiękniejszy śpiewa dla dzieci
14.55 „Z dalekiego kraju” — film wł.-ang., reż. K. Zanussi
17.15 Teleexpress
17.30 Kolędy i pastorałki śpiewa G. Switała
18.00 Premiera w „Qui pro Quo” — kabaret Z. Wiktorczyka, wyk. J. Kobuszewski, E. Dziewoński, W. Zborowski, M. Kowalska, siostry Winiarskie i inni
19.00 Wieczorynka: Kubuś Puchatek
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr TV: M. Hemar — „Dwaj panowie B.”, reż. J. Majewski, wyk. M. Kondrat, W. Zborowski, E. Zajacówna, J. Bończak, W. Pokora, K. Kłodziejska, I. Smiałowski, L. Pietraszak, M. Gajda i inni
21.40 Elton John — retransmisja publicznego koncertu
22.20 Sportowe przeboje roku
23.25—0.15 „Dwójka karo” (2) — film USA

Program II

- 11.25 D’Arby O’Gill (1) — film fab. z wytwórni Disney’a
12.00 Powitanie
12.20 Polacy: „Waleśa” — film dok.
13.15 Nasz jest ten dzień — kolędy internowanych
13.50 B. Kaczyński zaprasza — m.in. kolędy polskie śpiewa T. Żylica-Gara i Poznańskie Słowiki
16.50 Polskie kolędy w Betlejem
17.20 French Sanders Christmas Special — film muz. z udziałem A. Moyet
18.00 Kochany tatusiu... — program publicystyczny
18.20 Wołanie Eurydyki — H. Banaszak
19.00 Wywiady I. Dziedzic: prof. J. Sobolewski
19.30 Gdzie się podziała Madonna — rep.
20.00 Ballada o drodze — program poetycko-muzyczny
20.55 Apostołowie pojednania — rep.

- 21.30 Panorama Dnia
21.45 „Srebrne miasto” — film austral.
23.25 Komentarz dnia
23.30 Kolędy baletowe tańczy E. Wycichowska

WTOREK — 26 GRUDNIA

Program I

- 8.55 Program dnia
9.00 Świąteczna niespodzianka — filmy animowane Disney’a
9.20 „Ania z Zielonego Wzgórza” (3) — film kanad.
10.30 „Tajemnice piękna Japonii” — film dok. pol.
11.20 Video-top
11.50 W starym kinie: „Antek policmajster” — film pol. z 1935 r., reż. M. Waszyński, wyk. A. Dymśka, A. Fertner, M. Cwiklińska, S. Górka
13.30 Teatr dla dzieci: „Dwie Dorotki”
14.40 „Żyłam sztuką, żyłam miłością...” — film dok. o W. Wermińskiej
15.40 Dzień wolności — I. Trojanowska
16.20 Ginące zawody: witrażownictwo — film dok.
17.15 Teleexpress
17.30 „Doge City” — western USA
19.00 Wieczorynka: Kubuś Puchatek
19.30 Wiadomości
20.05 „Rzymianka” (1) — serial wł. wg powieści A. Moravii
21.35 G. Brom i jego goście: J. Zelenkova, D. Blazewicz, K. Prońko, Z. Wodecki, A. Zaucha, grupa VOX
22.35 Dźwięczny z platynowej płyty — recital żeńskiej grupy rockowej

Program II

- 11.05 D’Arby O’Gill (2)
11.50 Powitanie
12.00 Błękitna kolęda — pastorałki śpiewa Schola Cantorum Gedanensis
12.30 „Boże Narodzenie” — film dok.
13.00 „Polacy” — film dok.
13.30 „Opowieść o Andrew Loydzie Webberze” — film dok. ang.
15.10 Szansa: Dziewczyna miesząca
16.00 Dookoła świata z M. Jacksonem
17.10 „Za chwilę dalszy ciąg programu” — W. Mann i K. Materna
18.00 Magazyn 102: 40 minut na 40-lecie — wyd. specjalne poświęcone pracy M. Kotterbskiej
18.40 Modlitwa wieczorna
19.00 Goście D. Passenta
19.30 Kolędy śpiewa A. Hiolski
20.00 Rozświetlona noc — koncert orkiestry pod dyr. A. Duczmal
21.00 „Cicha woda” — piosenki z lat 50.
21.30 Panorama Dnia
21.45 „Lew afrykański” — film USA
23.30 Komentarz dnia
23.35 Zaśnijcie i ty — program poetycko-muzyczny

Jak zostałem chamem

Doszło do tego w kolejce. Nie była to kolejka zwyczajna, wydawała się raczej elitarna, a w porównaniu z kolejką do rzeźnika — szlachetna. Stojącym w niej przyswiewcał jeden cel — odbiór paszportu w toruńskim WUSW.

Powolotku doszedłem do czoła kolejki, w której panował nudnawo-ślamażarny nastrój. Zmienił się on jednak radykalnie, gdy przy drzwiach biura pojawiła się Staruszka.

— Oj, długa ta kolejka — rzekła. — Ale ja to chyba nie będę musiała tak długo stać, wpuście mnie państwo?

— Oczywiście — powiedziałem.

Kolejka aż się zagotowała. Wydawała

mi się do tej pory monolitem, ale blyskawicznie rozpadła się na dwa obozy: grupę „jastrzębi” i grupę „gołębi”. Przedstawiciele pierwszej zakrzyknęli, że nie ma mowy o wejściu staruszki poza kolejką.

— Do swojego domu możesz pan wpuszczać — usłyszałem.

„Gołębie” zaś przedstawiły mi szereg powodów, dla których wejście staruszki do biura poza kolejnością jest niemożliwe. Oto one:

— na drzwiach biura nie jest napisane, że osoby starsze mają prawo wchodzić bez kolejki;

— śpieszą się wszyscy i wszyscy są zmęczeni;

— część osób, aby odebrać paszport musiała wyjść z pracy;

— Staruszka na pewno załatwia paszport dla jakiegoś młodego cwaniaka;

— to nie jest kolejka po artykuły pierwszej potrzeby;

— wiek staruszki niczego nie przesądza, bo nawet ludzie przed 30-ką umierają na serce.

Wyliczanie tych argumentów osłabiło jednak ducha kolejki, zapanowało lekkie rozprężenie i Staruszka weszła do biura.

— I wpuścił ją cham jeden — usłyszałem.

STEFAN MUCHA

Mój prezent gwiazdkowy dla Was, drodzy Czytelnicy, to kolejna krzyżówka. Tym razem nietypowa: hasła należy odgadnąć z kontekstu felietonowych, wigilijnych rozważań. Prawdziwy kompromis przyjemnego z pożytecznym.

Życzę wielu błogosławieństw Boga, który tak nas umiłował, że przyszedł do tej jaskini wilków jako małe bezbronne Dzieciątko.

KRZYŻÓWKA ŚWIĄTECZNA

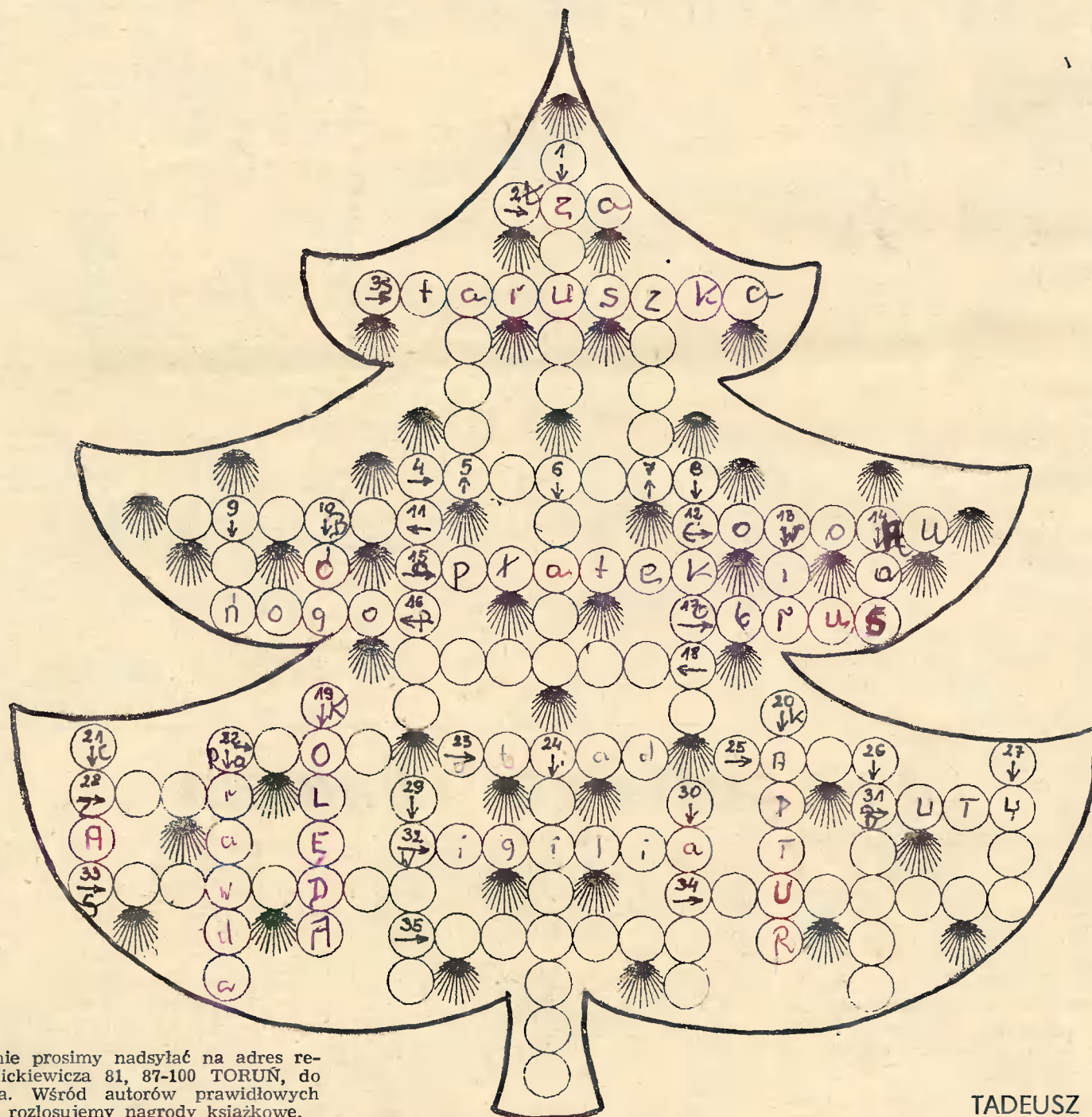
Zbliża się (24). Z dnia na dzień, jak (12), rośnie ruch w sklepach. Trwa (16) za świątecznymi upominkami. Sklepy mięsne przeżywają (1). Czując jakiś dziwny, wewnętrzny (7) rzucamy się w (13) gorączkowych przygotowań. Z kuchni kłuje (14) przenikliwa (19): właśnie gotuje się świąteczny (23). (27) już upieczona. Mieszkanie posprzątane. Do czego się tak przygotowujemy? Kto ma do nas przyjść?

Nadeszła (32). Pośrodku pokoju stoi choinka (26) szczególnej (17), pod nią siano. (21) rozpocząć wieczerzę. (30), której (4) dorosłych skupia się jednak na świątecznym stole. Śnieżnobiały radości dzieci. Pod nią kolorowa (4) i, oczywiście prezenty, (29) przyprószyła już skronie weźmie (15) w swą spracowaną (22). W niejednym oku zakreśli się (2). Podniosły nastrój łączy wszystkich. Jak gdyby jakaś (5) Boża przemknęła przez mieszkanie. W kącie idą urazy. Rodzi się pokój i przebaczenie.

Po wieczerzy rozbrzmiewa (19). Dzieci nie mogą usiedzieć w miejscu. Niecierpliwie spoglądają na drzwi. Wreszcie dzwonek. Zrywają się podniecone. Wchodzi św. Mikołaj. Czerwony (20), (31) z wysokimi cholewkami. Po chwili jedno ścisną w rękę upragnione (25), drugie z wypiekami na twarzy ogląda wymarzony sędziowski (35). Rozpocznie się (11). Nadaremno (8) kusi swymi gotowymi do spania łózkami.

Ale są domy w święta za wielkie. W jednym z nich samotna (3) spożywa wigilijną wieczerzę. W drugim ciemne okna. Choć jest (28), lokator w ten właśnie wieczór wyjdzie na opustoszałe ulice, nie mogąc znieść ponurego sam na sam z czterema ścianami. Ciepło rodzinne jest dlań bardziej odległe, niż dla Odysa (6). W trzecim, dwa dni przed wigilią rozegrała się (34). Matka i dzieci z rozpaczą wpatrują się w pusty talerz, raz jeszcze przeżywając w myślach (18) męża i ojca. Okrutna to (22 a). Trudno znaleźć jej sens. Być może ta staruszka to Twoja (33)? Być może, pod Twoim właśnie oknem wałęsa się człowiek z podniesionym kołnierzem?

Nim siądziesz do wigilijnego stołu, spójrz wokół siebie. Dojrzyj innych ludzi. Tylko wtedy (10) narodzi się także w Twoim sercu.



Rozwiązanie prosimy nadsyłać na adres redakcji, Mickiewicza 81, 87-100 TORUŃ, do 5 stycznia. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy nagrody książkowe.

opracował

TADEUSZ SOLECKI